Lwów, Niedziela dnia 29. Czerwca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 22.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnię 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

XVI.

Do późna w noc zatrzymało Narcyza towarzystwo, które mu nie pozwoliło przemocą, w imię danego słowa i przyjaźni, pospieszyć z smutną nowiną do rodziców i siostry.

Wróciwszy do siebie zastał cały pałac w śnie pogrążony, tylko jego osobista służba oczekiwała na jego przyjście.

— Nie był tu dzisiaj pan Rzewnicki? — zapytał służącego który go rozbierał.

— Był, jaśnie panie.

Skrzywił się młody baron niemile. Spodziewał się innej odpowiedzi.

— *Peste!* — zaklął pół-głosem — *il va venir tous le jours.*

Dodał jeszcze w myśli jakieś słówko przyjemne na intencją przyjaciół, co go nie puścili do domu i znów zagadnął służącego.

— Państwo byli w domu i przyjęli?...

— Tak jest, jaśnie panie.

— Ale nikogo obcego nie było?...

— Nikt nie był. Jaśnie pan i jaśnie pani wcześniej nawet wyszli z salonu... pan Rzewnicki jeszcze pozostał... jaśnie panna grała na fortepianie.

— *Malheureuse!... si elle savait!...* — jęknął boleśnie Narcyz.

— Co jaśnie pan rozkaże? — zapytał lokaj, sądząc że do niego mowa.

— Idź spać, a jutro rano, jak tylko ojciec będzie wstawał, obudzisz mnie... rozumiesz?...

Odpędziwszy lokaja, Narcyz pochodził jeszcze chwilę wielkim krokiem po pokoju, klnąc i wyrzekając na nieszczęście, jakiego sobie i rodzinie narobił, a gromiąc najbardziej siebie samego za *wdzięczność*, której nieopatrznie cugli popuścił.

— Trzeba mi było zaraz robić cuda z tej głupiej awantury pod Wilanowem. Ach!... gdybym był wiedział!... gdybym był wiedział!... rzuciłbym kupczykowi dukata, pocałowałby mnie w rękę i byłoby po wszystkiem... Nie! ja musiałem wciągnąć go pod nasz dach, rozgłosić światu, że mi życie ocalił, wprowadzić go między ludzi, zapoznać z Gustawem, dopuścić, żeby mama zrobiła z niego kuzyna, i to wszystko za to, że otworzył parasol aby przestraszyć spłoszonego konia, który w końcu możeby i sam stanął, a mnie nic nie zrobił... Mam za to teraz, com zasłużył. Do śmierci nie zapomnę tej nauki!... Oddawać się pierwszym popędom serca dla byle kogo!... Otóż takt!... otóż umiejętność życia!... Pfe! wstydzę się sam siebie!...

W pierwszej części monologu robił wyrzuty tylko sobie samemu. W drugiej uczuł nagłą potrzebę spędzenia choć w połowie winy na innych.

— Albo i on — biadał, rzucając z gniewu na podłogę ledwo zapalonego papierosa — albo i on!... jak śmiał będąc kupczykiem wchodzić do naszego domu?... Ciągnąłem go... no, i cóż z tego?... powinien był powiedzieć wyraźnie, że jego miejsce w naszym przedpokoju, a nie w salonie!... Nie! on się pchał, rozzuchwalił się do tego stopnia, że zaczął sam przychodzić nieproszony, i przesiadywać godzinami i robić słodkie oczy do Niny!... Ach! Nino! Nino!... więc tyś tego nie poczuła, że on się perfumuje cynamonem, wanillą i angielskiem zielem!...

Rozpacz Narcyza stawała się śmieszną. Rzucał się, prawił absurda, wygadywał niedorzeczności na matkę i na tych co jej nadesłali informacje fałszywe, przypuszczał że Emil zmyślił swoje nazwisko, albo przekręcił, albo przez Ż na początku się pisze, aż wreszcie usnął rozpaczony.

Jeszcze nie dospał tego co mu się należało gdy go rozbudzono według rozkazu.

Ubrał się spiesznie i pobiegł do ojca.

Baron Zygmunt nie lubił rannych wizyt syna. Trafiały się one najczęściej wówczas, gdy Narcyz potrzebował pieniędzy, a stary, choć nie podupadły jak większa część naszych panów, lubił bardzo gotówkę, i niechętnie się z nią rozstawał, chyba na jaką dosyć pewną spekulacją, jeżeli mu jego dostojność baronowska na wdanie się w nią pozwalała.

Zobaczywszy zatem przychodzącego, ojciec zrobił grymas przelotny. Przeczuwał coś niemilego, a przeczucie było tem naturalniejsze, że Narcyz, choć się ubrał jak wypadało na ranną wizytę, w roztargnieniu i pośpiechu, przywalony kłopotem, który go dręczył, zapomniał o należytem ułożeniu włosów na głowie i przyszedł prawie z rozczochraną czupryną.

— A Narcyzie! — rzekł stary baron przybierając twarz uśmiechem — ręczę, że cię coś niemiłego przypędziło do mnie tak rano... zgadnę od razu — zgrałeś się w karty.

— To tam najmniejsza ojcze; — odrzekł syn — *il y a de choses plus graves.*

— O! o! cóż takiego?

Narcyz spojrzał na kamerdynera, który stał opodal oczekując rozkazów.

— *Etienne, je n'ai besoin de rien* — odezwał się baron Zygmunt gestem wskazując służącemu, żeby wyszedł.

— Ah! ojcze!... straszne rzeczy — zawołał.

Stary Pogromski kochał swojego jedynaka, przyszłą świetności rodu nadzieję i był przekonany, że chodziło tylko o jakiś jego kłopot kawalerski, zwykle w związku zostający z kieszenią. Nie przeraził się tedy, ale skrzywił trochę na ten wykrzyknik. Miał przytem wielką pretensją do panowania nad sobą

i zimnej krwi, więc nawet to skrzywienie opanował prędko i odpowiedział poważnie:

— Cóż się stało?... wszystkiemu się zaradzi.

— Oh! temu zaradzić trudno — wybuchnął rozpaczliwie Narcyz—kompromitacja... nieszczęście... *notre nom est souillé*...

Baron zerwał się z krzesła.

— Narcyzie, opamiętaj się, co ty gadasz?... przez kogo imię nasze może być splamionem?...

Narcyz aż sam się przeląkł skutku swych wyrazów, i radby je teraz złagodził, ale już było zapóźno. Objaśnienia przedwstępne jeszcze by pogorszyły wrażenie rzeczy, której wina w końcu na niego samego spadała.

— Ojcze... przebacz... Rzewnicki...

Słowa z ust Narcyza nie wychodziły tak prędko jak tego pragnął baron, nie mogący się doczekać słowa zagadki.

— Co?... Rzewnicki splamił nasz dom?... *mais ta es fou, mon cher.*

— Rzewnicki... ojcze... jest prostym kupczykiem.

— A!... — jęknął baron.

Długą chwilę trwało milczenie. Narcyz z niepokojem patrzył w oczy ojca, który stał nieruchomy na środku pokoju, niby w posąg zmieniony piorunem strasznej wiadomości.

Baron Zygmunt wreszcie pierwszy przyszedł do siebie i cząstkę panowania nad sobą odzyskał.

— Nie będę ci robił wyrzutów, Narcyzie... — zaczął.

— Ah! ojcze ja sam sobie włosy rwę z głowy..

— Nie potrzeba, tem nie naprawisz złego. Radź tylko co tu począć, Narcyzie.

— Przedewszystkiem — zaproponował Narcyz — przedewszystkiem dać rozkaz służbie, żeby się tego chłystka nie poważyła wpuszczać do pałacu.

Stary baron machinalnie szarpnął za dzwonek, lokaj ukazał się w tej chwili.

— Słuchaj, Walenty — rzekł do niego surowym głosem — zapowiesz wszystkim, że jak przyjdzie pan Rzewnicki...

Tu nagle przerwał sobie, zamilkł na chwilę; i rzekł nareszcie:

— Ruszaj precz.

Walenty wyszedł, mniej podobno od Narcyza zdziwiony niedopowiedzeniem rozkazu.

— Ojcze — rzekł Narcyz gdy zostali sami.

— Tak zrobić nie można, Narcyzie... zamknąć mu drzwi przed nosem, to byłoby krzyczące, a przytem skandal taki nie doprowadziłby do niczego.

— Mnie się zdaje, kochany ojcze, że trzeba działać energicznie... *évitons les demi-mesures.*

— A mnie się zdaje, że jest coś ważnejszego do zrobienia... *il faut d'abord sauver les apparences.*

— Ocalić pozory... to prawda... lecz w jaki sposób?...

— Nie wiem jeszcze, lecz je ocalić trzeba... zaszliśmy zadaleko... jest naszym kuzynem... *tout le monde le sait*... ocalił ci życie... *tu as été te premier á le crier á son de trompe*... bywa u nas... tyś był u niego... cóż odpowiemy ludziom jak się spytają dla czego wypchnęliśmy go za drzwi?... Nie, Narcyzie, tak postąpić nie można... *il faut chercher un autre moyen de nous en defaire*...

— Tymczasem będziem zwłóczyli dopóty, aż się rozgłosi, że przyjmujemy kupczyka... wczoraj jam się o tem dowiedział, jutro będzie wiedzieć cała Warszawa.

— Więc trzeba dziś jeszcze coś wymyśleć.

— Dać mu pieniędzy... niech jedzie za granicę...

— Tak... i utrzymywać go przez całe życie...

— A więc cóż począć?... ma ojciec jaki projekt?

— W tej chwili nie mam żadnego... lecz poczekaj... *j'y penserai*...

— Ojcze najdroższy, aby prędko... ja nie wiem co to będzie jak się dowie mama i Nina. .

— Przed baronową i przed Niną ani słowa, pamiętaj Narcyzie, dopóki cię nie upoważnię... jeżeli się domyślasz, że ktoś z bywających u nas wiedzieć o tem może, nie każ go przyjmować, tymczasem zostaw mnie samego, niech się rozmyślę spokojnie jak postąpić. Nie podobna żebym nie wpadł na pomysł.

Gdyby baron Zygmunt był ministrem i otrzymał niespodziane groźne *ultimatum* sąsiedniego mocarstwa, zapewne nie myślałby nad niem tak pilnie i tak długo, jak teraz nad wybrnięciem z swego położenia.

Czyż to położenie było w rzeczy samej takie okropne? — niejeden czytelnik zapewne uśmiechem na to przypuszczenie odpowie. Są jednak ludzie, bo są całe światy ludzi, którzy mało zapomnieli a nauczyli się niewiele i którzy w położeniu barona Zygmunta również byliby zaambarasowani.

Należeć do najpierwszej arystokracji najpierwszego w kraju miasta, być baronem, to jest według zdania księcia Windischgrätza tem od czego człowiek już się zaczyna, łączyć się związkami rodzinnemi z najznakomitszemi rodami, poufałością i powinowactwem z tem wszystkiem co tytułowane, i nagle spostrzedz że się powagą swoją wprowadziło w ten świat świetny intruza, że się *devant cette illustre societe* zaafiszowało swoje bliskie kuzynostwo z kupczykiem... a! cóż to za tragiczne położenie, jakkolwiek ludziom, dla których niedostępne są arkana wyższego życia, może się tylko śmiesznem wydawać.

Baron Zygmunt był tak złamanym, że przez pierwsze dziesięć minut zupełnie myśleć nie mógł i gdyby nie potęga woli, gdyby nie ogrom potrzeby, która jak wiadomo jest matką wynalazków i najlepszą fabrykantką pomysłów, zapewne nicby nie wymyślił.

Coś mu jednak w uszach dźwięczało wielkie hasło wielkiego świata:

— *Sauvons les apparences!*

Czytał to hasło na ścianach swego pałacu, na każdym sprzęcie prawie, który miał przed sobą, na bibliotece, z której książek nigdy nie czytał, na broni myśliwskiej, z której nigdy nie strzelał rozwieszonej nad starem żelaznem, obozowem łóżkiem, którem umeblował swój gabinet jako pamiątkę po pradziadach, a na którem nigdy nie sypiał; na złotej tabakierce, którą bawił się często, chociaż nie zażywał tabaki; na obrazach któremi przyozdobił ściany, chociaż pędzla Rubensa od Rembrandta odróżnić nie potrafił; na kropielniczce zawieszonej przy drzwiach wchodowych, z której od lat kilku wyschła woda święcona; na portrecie małżonki zawieszonym w najwidoczniejszem miejscu, na którym nigdy dłużej wzrok jego się nie zatrzymywał. Wszystkie te sprzęty, dzieła sztuki, księgi, pamiątki były tam zgromadzone, żeby ocalić pozory i swoją niemą lecz niepokonaną wymową wołały na niego, że pozory raz jeszcze ocalić potrzeba.

Pod wpływem tych potężnych podniet wielka praca myślenia nie tak tępo szła baronowi jak zazwyczaj.

W godzinę miał już pomysł pierwszy, na którego odrzucenie mniej czasu potrzebował, niż na powzięcie.

Jakim był ten pomysł, co nam do tego, kiedy go pan baron odrzucił?... Była to zapewne owa myśl pierwsza, której się strzedz należy, bo zwykle bywa poczciwą.

Duch inwencji zaprawiony tem pierwszem ćwiczeniem, okazał się skorszym i zdolniejszym do następnych. Przesuwały się one teraz po głowie barona jedne po drugich, prawdziwą procesją, a były dla niego coraz mniej wstrętne, bo coraz mniej kosztowne, więc coraz z mniejszym pośpiechem je rzucał.

Myśl ludzka jest jak pajęczyna, człowiek potrzebuje ją przyczepić do czegoś ażeby wysnuł z siebie długą, wiotką nitkę, którą w końcu lada przeszkoda zerwać może, nim się do drugiego punktu uczepi i w coś praktycznego w podstawę przyszłej sieci planów i projektów zamieni.

Baron uczepił wreszcie nitkę tej pajęczyny do wyrażenia:

— On jest kupczykiem.

Poprzednie nici zrywać musiał, bo były uczepione niedogodnie, ta zato snuła się sama przez się, jak prawdziwej pajęczynie przystało:

— Jest kupczykiem... — mówił do siebie — mógłby więc zostać kupcem.. będąc kupcem robić szczęśliwe spekulacje, ze spekulacji mieć miljony, a gdyby miał miljony czegóż potrzeba więcej do ocalenia pozorów... Dziś już jesteśmy wyżsi nad przesądy... kto ma pieniądze, choćby nie miał tytułu, może bywać w domach naszych, może zostać naszym kuzynem. Miljon nie robi mezaljansów... wiek XIX równouprawnił go z pargaminami.

Uśmiechnął się w tej myśli, a ona snuła się dalej:

—Tak... ale do miljona potrzeba dwóch rzeczy... zmysłu handlowego i kapitału na początek. Czy on ma zmysł handlowy?... Jużci mieć musi, inaczej nie obrałby tego zawodu. Ukształcony dosyć, z dobrego rodu, mógłby zostać urzędnikiem jak u nas wszyscy... jeżeli obrał handel, widać że go coś do tego ciągnęło. Rozmawiałem z nim mało, to prawda, ale z tego co mówił, znać, że obznajomiony z swym fachem, że ma spryt. Pamiętam raz dowodził iż u nas wiele złego ztąd pochodzi, że ci którzy mają pieniądze nie umieją niemi obracać na drodze handlu i przemysłu, że się wdają w niezręczne spekulacje na papierach publicznych, na których rujnują się, zamiast na drodze przemysłowej pracy i uczciwego handlu powiększać swoje fortuny, powiększając jednocześnie dobrobyt kraju. Ja sam jestem tego zdania... i nieraz...

no, przecież grosza nie brakuje... spróbowałbym — ale gdzież mnie?... gdzież baronowi Pogromskiemu!... coby to ludzie na to powiedzieli?...

Z kolei zwrócił do drugiego warunku jakiego Emil potrzebował, ażeby zostać milionerem.

— To bieda że on nie ma pieniędzy... a! gdyby je miał... choć jakie sto tysięcy na początek... za kilka lat jużbyśmy go się wstydzić nie potrzebowali... a tymczasem... zawsze byłoby znośniej mieć kuzynem kupca na siebie niż jakiegoś subjekta.

Wkrótce potem pajęczyna dumań barona znalazła drugi punkt, na którym można ją było zaczepić.

Uczepiła się jego kieszeni.

— Pieniędzy — myślał — możnaby mu było ich dać...

Zrazu ta myśl przejęła go odrazą.

— Ba!... czyż można rzucać tysiące? — odpowiedział sam sobie.

Wszedł sam z sobą w targi. Tłumaczył sobie iż to będzie bardzo pięknie, że on, baron Pogromski, znalazłszy gdzieś biednego, bardzo dalekiego kuzyna, człowieka nie mającego nic, odwdzięczając się za przysługę, jaką mu ten kuzyn zrobił przypadkowo, dopomógł mu, postawił go na nogi, zapewnił mu niezależność.

—O, dam mu ze dwadzieścia tysięcy— zaczął się decydować.

— Ośmnaście byłoby dość — zaprotestowało przywiązanie do grosza — tysiąc dukatów niby, trzy tysiące talarków, jak się to mówi, sumka okrągła, pokaźna.

Już się baron zgadzał i na to ale oszczędność licytowała *in minus*.

— Jeżeli ma głowę, to z piętnastoma tyle zrobi co z ośmnastoma... jak kupiec ma piętnaście tysięcy, to ma na dwa razy tyle kredytu, jeżeli jest rzetelnym człowiekiem, a wszystko każe wnosić, że Emil jest człowiekiem rzetelnym.

Z piętnastu tysięcy spadło na *całe* dwa tysiące rubli, a u dwóch tysięcy rubli na *okrągłe* dziesięć tysięcy złotych.

Takim sposobem baron Zygmunt nadzwyczaj szybko zbliżał się do zera i doszedł do niego wreszcie.

— Dać mu mało, to tak jak nic... a zresztą ilekolwiek dać, będzie to zawsze rodzaj jałmużny... onby jej nawet przyjąć nie powinien... tak, onby jej nie przyjął, bo ma charakter... już ja go znam. Lepiej... ot co... pożyczyć mu na spłatę... albo wejść z nim we spółkę... niech robi moim kapitałem, a zyskami dzielić się będziem.

Pożyczka lepiej przypadła do gustu baronowi niż zapomoga, a wspólka lepiej niż pożyczka.

— Ha! jeżelibym się na nim nie zawiódł to mogę nawet zrobić dobry interes... jeżeli to chłopiec poczciwy a zdolny, to mi czy jako dłużnik czy jako wspólnik więcej przyniesie niż papiery procentowe lub hipoteki.. Wyborna myśl.. *des apparences seront sauvées*, a nic mnie to kosztować nie będzie... owszem może wyjść na pożytek.. po co mam ludziom gadać, że on mnie spłaca albo zyskami się dzieli?... W handlu tajemnica przedewszystkiem.. tym tylko sposobem można upiec dwie pieczenie na jednym rożnie.

Zatarł ręce z zadowoleniem, ratyfikując w ten sposób swój własny projekt, a następnie zadał sobie pytanie:

— Ileż mu dać?...

Zaczęła się znowu licytacja, ale tym razem szła *in plus*.

XVII.

Gdy Emil nad wieczorem wrócił do domu, zastał u siebie list zapieczętowany herbem z baronowską koroną.

Złamał spiesznie pieczątkę i przeczytał.

W liście były te tylko wyrazy:

Kochany panie Rzewnicki!

Ojciec mój prosi pana, żebyś, jeżeli łaska, pofatygował się do niego na godzinkę, jeśli podobna natychmiast jak będziesz wolnym.

Łączę ukłony. Życzliwy sługa

Narcyz.

Znać było z tego listu, że Narcyz już wiedział w jaki sposób miano ocalić pozory.

Rzewnickiego zaciekawiło to wezwanie. Nie domyślał się wcale czego mógł chcieć od niego baron, nigdyby zaś się nie poważył nie pospieszyć na zaproszenie człowieka, będącego głową rodziny, w której znalazł tyle wdzięczności, taką życzliwość, przyjaźń, a wreszcie tak uprzejmą i tak skuteczną w chwili boleści pociechę.

Ubrał się prędko a że mieszkał dosyć daleko, więc dorożką pospieszył, żeby starego barona nie narazić na oczekiwanie.

Baron oczekiwał go rzeczywiście w tym samym gabinecie, w którym rano kilka godzin nad ocaleniem pozorów przemedytował, a do którego teraz natychmiast po przyjściu wprowadzono Emila.

Przyjął go pan Zygmunt bardzo serdecznie, chociaż było w tem przyjęciu coś różnego od dawnych przyjęć, coś czego Emil dobrze nie dostrzegł, a gdyby dostrzegł, nie łatwoby sobie wytłumaczył, ot, może życzliwości i ojcowskiej poufałości więcej.

Zamiast ukłonu i podania ręki było podbiegnięcie i jakiś ruch, który trudno określić... rodzaj pogłaskania po ramieniu; zamiast wskazania gestem miejsca i grzecznego zaproszenia żeby je zajął, było prawie posadzenie na znajdującej się w gabinecie kanapce, pan Zygmunt ujął bowiem swego gościa wskazującemi palcami obu rąk, za te punkta ramion, w których zazwyczaj szczepią ospę, i tak delikatnie popychał go na miejsce, które mu przeznaczał; zamiast wreszcie wyrazu „pan“ w rozmowie, jakkolwiek nie usuniętego zupełnie, częściej daleko niż niegdyś pojawiało się owo patrjarchalne, serdeczne i drogie każdemu postepowemu sercu „ty“, którego panu Zygmuntowi, jako człowiekowi porządnie już przypruszonemu siwizną, nietylko nasz poczciwy Emil, bardziej zadowolony niż zdziwiony tą odmianą form, ale nawet młody człowiek najdrażliwszy o swoją godność, za złeby mieć nie mógł.

— Jak to dobrze, żeś był łaskaw przyjść, jak to dobrze, kochany panie Emilu, — zaczął nareszcie baron usadziwszy go na miejscu.

— Uważałem za mój obowiązek pospieszyć na wezwanie pana barona.

— To dobrze... to dobrze... mam też z tobą dużo do pomówienia i pozwól, że od razu przystąpię do rzeczy...

— I owszem, panie baronie... słucham.

— Wszak obrałeś zawód handlowy z zamiłowania?...

— Uważałem go za najkorzystniejszy i najpraktyczniejszy dla siebie, jakkolwiek mi go odradzano. Zresztą nie bardzo mogłem postąpić inaczej... nie miałem żadnego majątku... do czegóż miałem się rzucić? Biura pozapychane młodzieżą... pozostawał przemysł i handel, od którego ukształceńsza młodzież zwraca się u nas ze wstrętem, i które przez to kuleją, albo się stały monopolem jednej kastą w narodzie, lub co gorsza środkiem eksploatowania nas przez cudzoziemców.

— Dobrześ uczynił, panie Emilu... ja to zawsze mówiłem... otóż... co chciałem po wiedzieć... czy nie miałbyś ochoty, gdyby tak okoliczności były po temu, porzucić tego zawodu?...

— Sądzę, panie baronie, że w życiu ten najlepiej wychodzi, kto dla pierwszej lepszej ponęty nie rzuca raz z rozmysłem obranej drogi, dlatego sądzę, że w każdym razie zostałbym na mojej.

— Nawet gdyby się nagle jaka okoliczność... spadek po kimś z familji? naprzykład, uczynił cię stosunkowo bogatym?

— Nie spodziewam się tego... a wreszcie, gdyby się to trafiło, czegóż więcej potrzebuje ten co w przemyśle lub handlu pragnie korzyść przynieść krajowi, jeżeli nie pierwiastkowego zakładowego lub obrotowego kapitału.

— Taki kapitał przydałby ci się, panie Emilu, nieprawdaż?

— Trudno zaprzeczyć... ale cóż począć?.. nie mam go.

— Widzisz... mógłbym się gniewać na ciebie... jakiś nieszczery!... Czemuż nie było mnie o tem powiedzieć?... ja mam pieniędzy dosyć i choć ciężkie czasy dałbym z ochotą..

— Nie śmiałbym nigdy...

— No, no, porzuć drażliwości i ceremonje. Nie proponuję darowizny, gdyżbyś jej nie przyjął... można to zrobić inaczej.. będziesz moim dłużnikiem.

— Niepodobna, panie baronie... na jedyną hipotekę sumienia pożyczki przyjmować nie mogę.. z czegobym ją oddał w razie nieszczęścia, a w handlu o nieszczęście nie trudno, tym zwłaszcza co zaczynają nie swoim kapitałem... Pierwszy rok niedość wielkich zysków, stawia się w niemożności opłacania procentów z konieczności większych niż w pożyczkach hipotecznych, i czyni dla nich podwójnym ciężar zaciągniętego długu, pod którym w końcu upaść muszą.

Baron się zamyślił. Trochę go przestraszyła ta perspektywa, ale z drugiej strony nie mógł nie uznać, że rozmawiał z człowiekiem, który w widokach osobistych prawdy przed nim przeistaczać nie myślał. Nie porzucił więc projektu, jednak nie tak już wprost ofiarował Emilowi swoje pieniądze, lecz zaczął ostrożnie i zdaleka, żeby módz się bez trudności wycofać, jeśli interes zbyt wielkie przedstawiał ryzyko.

— No... jeżeli nie chcesz pożyczki.. nie ma co mówić... ale mógłbyś wejść z kim w współkę.. Wszakże ci znaną teorja i praktyka spółek kapitału i pracy?..

— Nietylko znana, panie baronie, ale długo o niej myślałem i uważam ją za formę stowarzyszeń, która ma przed sobą największą przyszłość. Wojnę kapitału z pracą, jak wiadomo jedno z najwyższych dzisiaj ekonomicznych zagadnień, uważam za wojnę domową, za targ rodzinny, nikomu bowiem nie jest tajnem blizkie pokrewieństwo tych dwóch tak sobie wrogich w tej chwili czynników. Praca jest matką kapitału, kapitał jest to śpichlerz mieszczący w sobie nieskonsumowaną pracę przeszłości. Do przymierza między niemi przyjść musi, a najlepszą formę tego przymierza pod względem praktyczności wypróbowaną już dostatecznie, mamy w współkach kapitału i pracy, w których praca, jako kapitał przyszłości, łączy się z kapitałem, jako pracą przeszłą, jak równy z równym, jak dwa jednorodne czynniki. Wszelkiemi siłami starać nam się należy pracować nad rozwojem tego rodzaju instytucji, które kiedyś, w epoce nie tak może odległej jak nam się dziś wydaje, będą jedyną formę kontraktu między temi co dają innym pracę, a temi co ją wykonywują.

W tym duchu Emil mówił dłużej jeszcze. Całej jego ekonomicznej rozprawy nie mamy prawa powtarzać w powieści, winniśmy tylko powiedzieć, że na panu Zygmuncie, który z razu jej nie przerywał, a potem dla lepszego zbadania i wyegzaminowania Emila zaczął wtrącać zarzuty i uwagi, które nasz bohater zwycięzko odpierał, wywarła ona pożądane wrażenie.

Gdy Emil skończył, pan Zygmunt uznał już zupełnie trafność swojego planu i postanowił trzymać go się aż do końca.

— Kiedy tak dobrze rozumiesz zasady i praktykę spółek podobnych, panie Emilu, powinienbyś wejść z kim w stowarzyszenie, dając swą pracę.

— Myślałem o tem nieraz, panie baronie, ale niestety! kapitały u nas są prawie wyłącznie w ręku ludzi, którzy sobie nie zadali pracy, żeby korzyści takich stowarzyszeń zrozumieć. Jeszcześmy nie dojrzeli ekonomicznie. Wprawdzie rzadkością są już tacy, co wierzą tylko w ziemię i w gotówkę, a nawet procentu się boją, bo na stratę kapitału narazić może, ale za to nie ma i takich, coby wierzyli w coś więcej jak w papier dobrze zahipotekowany i w hipotekę...

— No, możeby się i znaleźli, gdybyś poszukał... ja naprzykład?...

— Pan baron?...

— Tak jest, wchodzę z tobą w spółkę, nie próbuj się nawet wymawiać, bo nie odstąpię od swojego i obraziłbyś mnie śmiertelnie, gdybyś się uparł i zmusił mnie do szukania kogo innego, gdy mam do ciebie zaufanie.

— Panie baronie, to byłoby dobrodziejstwo, ktorego...

— Dajże pokój... sprzeczny jesteś sam z sobą... jakie dobrodziejstwo?... umowa. A wreszcie kiedy chcesz tego wyrazu, niech będzie i dobrodziejstwo, ale wzajemne. Ja ci daję kapitał, bo nie chcę, żeby się twoje wyższe zdolności marnowały na subjektowaniu w jakimś korzennym sklepie, gdzie przyznaj sam, pracujesz tylko mechanicznie; ty bierzesz mój kapitał, bo nie chcesz, żeby pieniądze starego Pogromskiego pleśniały w biurku, lub szły nieprodukcyjnym torem, jak zwykle u nas chodzą majątki. Otóż dobrodziejstwo za dobrodziejstwo, jedynem dobrodziejem jest akt współkowy, który nam obu przyniesie korzyści.

Emil niedługo się opierał. Jego sen sprawdzać się zaczynał.

Tegoż jeszcze wieczora ułożono wszystko. Konferencja trwała aż do dziesiątej.

Ułożono wszystko najszczegółowiej, nazajutrz Emil miał przynieść z sobą do podpisania i ostatecznego umówienia brulion układu.

Układ ten był niezmiernie dla Emila korzystnym.

Baron dawał mu piędziesiąt tysięcy, jego zdolność i umiejętność na tyleż otaksowaną została, Pogromski więc należał do połowy czystego zysku. Emil nadto miał pobierać za swą pracę pensją cokolwiek wyższą od tej jaką pobierał w handlu.

Zbytecznem byłoby mówić, że tylko upór pana Zygmunta wymógł przeprowadzenie szczegółów odnoszących się do Rzewnickiego, który w skromnem rozumieniu o sobie, spragniony działalności na własną rękę, byłby się gotów zaprządz w jarzmo kapitalisty za cenę marną i zupełnie nieodpowiednią pracy i nauce jaką przynosił na rzecz spółki.

Ale pan Zygmunt chciał się okazać wspaniałomyślnym, w czem miał może jakieś widoki, które się później wyjaśnią.

Uparł się i zrobił swoje.

Emil chciał mu oddawać trzy czwarte zysków, on przestawał tylko na połowie Emil pensję dla siebie za pracę ustanawiał nieznaczącą, dla formy ledwie, on mu ją podniósł do kilku tysięcy. Emil zastawiał się tem, że dobrodziejstw przyjmować nie może, on tem go zabijał, że nie może pozwolić, żeby za darmo pracowano nad zapełnieniem jego kieszeni.

Rzewnicki uległ, nie pozbywając się całkiem myśli, że mu robiono łaskę, ale robiono tak życzliwie, z takiemi względami dla jego miłości własnej i staraniami widocznemi, żeby go nie upokorzyć hojnością, że nie miał siły się opierać, nie miał argumentów na wymówienie się, może dlatego, że ich treść rzeczy dostarczyć nie mogła, bo w istocie warunki spółki ułożone zostały sumiennie i łaski żadnej nie było

W jednym tylko punkcie Rzewnicki chciał stanowczo przeprowadzić swe zdanie, ale i tu ustąpić musiał.

Chciał, żeby spółka była jawną i firmę Pogromskiego i Rzewnickiego nosiła. Dowodził, że baron tym sposobem da przykład zbawienny innym tytułowanym kapitalistom pożytecznego dla kraju obracania kapitałami.

Baron się prawie oburzył.

— A panie, — zawołał — coby to ludzie powiedzieli?... ja... baron Pogromski, miałbym figurować na szyldzie...

— Przesądy...

— Miej sobie przekonanie jakie chcesz, mnie nie przeprzesz, panie Rzewnicki... Urodziłem się i wychowałem w poszanowaniu tradycji, z niem umrą.. niech następne pokolenie rozpocznie reformę pod tym względem.

— To nasze nieszczęście, że za wiele na karb przyszłego pokolenia składamy, panie baronie, — odparł Rzewnicki — szanuję pańskie przywiązanie do tradycji, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że nie będziesz pierwszym, co przeciwko niej wykroczy..

— To co innego... tam się obracają miljony... my zaczynamy tysiącami. Nasz interes to co innego. Do tego mnie nie namówisz... chyba kiedyś.. Bo nie myśl, panie Emilu, żeby na tem co dziś robimy był koniec. Jeżeli nam dobrze pójdzie, no, to mnie kapitałów nie zabraknie na rozwinięcie naszego przedsięwzięcia na skalę wielką, nawet na ogromną. Tymczasem ty jedynie pozostaniesz jawnym właścicielem, a ja cichym spólnikiem i nawet wkładam na ciebie obowiązek honorowy, żebyś, o ile to podobna, zachował w najzupełniejszej tajemnicy moje wspólnictwo.

Obietnica barona, że w przyszłości ulegnie, a także poważanie dla jego wieku i stanowiska oraz pobłażanie dla zrosłych z życiem przesądów, kazało Emilowi ustąpić. Widział zresztą, że naleganie na nicby się nie zdało. Baron był gotów zrobić z tego warunku *conditio sine qua non* swojej umowy, a Rzewnicki zbyt był praktycznym, żeby dlatego co w gruncie było tylko formą, rzecz miał poświęcać.

Stało się tedy we wszystkiem według życzenia barona.

Ledwie się rozszedł z baronem Emil posmutniał. Póki był z nim, był tylko kupcem planującym przedsięwzięcie handlowe, interes. Gdy został sam zaczął być znów człowiekiem, któremu się przypomniały żywo wszystkie boleści, wszystkie smutki położenia w jakiem zostawał.

— Otóż mógłbym powiedzieć, jak ów hetman, — myślał posępny — daleś mi panie chleb, kiedy zębów nie stało. Mam teraz przyszłość przed sobą... a!... gdybym miał ją wcześniej, mógłbym ją ofiarować jej a ona możeby przyjęła...

Ciężkie westchnienie wydarło mu się z piersi.

— Stało się!,.. — rzekł do siebie — w gorączce pracy zapomnę o boleści... szczęśliwym mi być wolno tylko myślą o tem, że ona jest szczęśliwą.. będę przynajmniej pożytecznym.

Ale było podobno w gwiazdach zapisane, że ten dzień będzie dla Emila dniem niespodzianek i krótkich listów.

Przyszedłszy do domu, zastał kartkę następującą, nakreśloną ręką kobiecą:

„Panie Emilu!

Potrzebuję ręki przyjaznej, Natalcia chora.

Balska."

Było już dobrze po dziesiątej, lecz gdzie ręki przyjaznej potrzeba, tam nie ma niewłaściwej godziny.

W chwilę potem już Emil był w doróżce i pędził do pani Balskiej.

Druga część snu wczorajszego sprawdzać się zaczynała.

Koniec tomu pierwszego.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

List ten wywarł zamierzony skutek i komitet franko-polski natychmiast ogłosił nowe sprawozdanie ze swych czynności zamieszczone 28 marca 1831 w *Jl. des debats.*

Od zawiązania się swego komitet postarał się o rzeczywistą pomoc powstaniu. To też zaczął w miarę wpływających funduszów wysyłać na plac bitwy oficerów i lekarzy, na razie może najpotrzebniejszych. Pisze więc komitet: „Dzienniki polskie zawiadomiły że braknie Polakom lekarzy? ze wszystkich krańców Francji postępywały prośby od młodych lekarzy, obowiązujących się natychmiast jechać do Warszawy dla pomagania naszym braciom rannym wszelkimi środkami sztuki. Już 20 lekarzy zapisano przez komitet i o paszporty zareklamowano u ministra“...... „Nikt we Francji nie upadł na duchu z powodu dwóch artykułów *Gazety warszawskiej,* w których od razu napada się na zbieranie składek i manifest. List Walewskiego dał imie tym gorzkim wyrzutom, które bez wątpienia nie mogą się odnosić do komitetu polskiego. Zresztą codzienna korespondencja objaśnia nas, że usiłowania patrjotyzmu francuskiego są starannie oceniane w Polsce. Manifest przetłumaczony ogłoszono we wszystkich dziennikach, stał się popularnym i czytano go w zgromadzeniach i na placach publicznych, on wywołał najżywszy zapał.“

Po tem wystąpieniu komitet zajął się sprawą jeszcze czynniej, ogłosił drugą listę składek i wkrótce przeszło 60 osób wysłano było do Polski. Władze rządów niemieckich nie mogły ich zatrzymywać w drodze. Każdy więc przybywał na miejsce przeznaczenia. Wysłańcy ci byli pierwsi z Francuzów, co w obec własnego kraju zdawali sprawozdania o postępach naszej walki, przed nimi bowiem wiadomości te szły z dzienników powstańczych i przez artykuły lub wyciągi rodaków bawiących w Paryżu przechodziły do dziennikarstwa. Pierwsze takie listy od *Legallois* i *Brière de Boismont* z 7 kwietnia zamieścił komitet centralny przy swem sprawozdaniu z obchodu 10 marca.

Zbliżał się czas wyborów do ciała prawodawczego we Francji. Potrzeba było postarać się o jak największą liczbę posłów sprzyjających sprawie naszej, by izba miała dość siły zmusić ministerstwo wyjść z biernej polityki. W tym celu centralny komitet polski (*le comité central polonais*) pisał do wszystkich filjalnych komitetów nagląc do wpływania na wybory i nie zasypiania sprawy tak ważnej. Nie dość tego. Równocześnie wydał odezwę do wszystkich wyborców. „Sądziliśmy panowie — pisze on — że odpowiemy waszemu współczuciu, prosząc was o obracanie tych różnych zgromadzeń na korzyść sprawy polskiej. Nie do wybrańców narodu francuskiego należy koniecznie wygłaszać prawa naszych braci Polaków z całą naszą życzliwością. Lecz uchwycić każdą okoliczność dla pokazania światu nasz podziw dla Polski, i nasze pragnienie jej zwycięstwa, oto myśl wszystkich, którzy są we Francji przyjaciółmi honoru i ojczyzny. A z tego podwójnego tytułu komitet powinien liczyć na was“....... List ten podpisało 75 członków, a między nimi oprócz wymienionych *Deselozeaux, Ferrou, Jollivet Julien, Larrey, Lebreton, Fernaux,* de *Fracy,* książę de *Valmy, Chatelain, Justin* z Paryża i t. d.

Nie poprzestając na tem skoro tylko francuski sejm się ukonstytuował, natychmiast członkowie komitetu nie zaniechali podać (5 sierpnia 1861) posłom przedstawienie potrzeby wdania się Francji w sprawę polską. „Dzisiaj, naród bohaterski, tak długo i tak często strzegąc stale i z oddaniem się cywilizacji europejskiej, który po sto razy odrzucał barbarję gotową się wylać na nasze lądy; i t. d...... ten naród wyciąga do nas ramiona i przyzywa nas wielkim głosem, jeżeli będziemy głuchymi na jego głos szlachetny i błagalny, bójmy się, by on nie został pokonanym.“

„Posłowie Francji, będziecie organami całej Francji jeśli wysłuchacie Polski co na nas woła: Na pomoc, na pomoc!“.... „Cóż trzeba by położyć kres tym długim rzeziom? Czyż nie jest koniecznością urzędownie uznać poselstwo polskie w Paryżu, oglaszając w ten sposób niepodległość Polski? To uznanie czyż nie będzie przedwstępem nieodbitym do ujawnienia stosunków dyplomatycznych?“ A dalej rozumuje komitet: „Nie uważać Polski za rząd, znaczy uważać ją za buntowniczą; nie uznawać prawowitości ich rewolucji jest to potępiać naszą. Posłowie Francji, podnieście głos aż do popularnego tronu, że Polska powitała swoje nadzieje i swe pragnienia. Odważne zuchy nasze lecą na pomoc naszym braciom Belgom, a czyż nie zrobimy nic dla naszych braci Polaków? Spieszcie posłowie Francji, bo jutro może będzie za późno.“

Zanim jednak izby namyśliły się nad tem uznaniem, już było zapóźno. Moskale zajęli Warszawę bez boju. Wtedy to komitet centralny na korzyść Polaków podniósł jeszcze głos, co jakby w przeczuciu przyszłego towarzystwa demokratycznego, zakończony słowami: „Polska zawsze odżyje we Francji, niechże Moskale przyjdą szukać jej tam. Niech żyje Polska“!

Car dziękował Opatrzności za sławę jego oręża, „za świętokradzkie zwycięstwo siły zwierzęcej nad prawem, barbarji nad awangardą cywilizacji europejskiej“, jak powiedział komitet, zapowiadając że „prawo, wolność narodów, cywilizacja europejska będą miały z kolei znowu swą reakcję.“

„Już nie jesteśmy, mówi odezwa, więcej w czasach, w których można było bezkarnie wyrzynać cały naród, którego jedynym występkiem była chęć wyzwolenia się. Krzyki krwi polskiej rozlegają się i będą rozlegały wszędzie gdzie żyje jakiekolwiek uczucie sprawiedliwości i godności ludzkiej. Rząd winny w tym śmiałym podziele, co zrobił z Polski *łup,* powinien był, przez pewnego rodzaju zadosyćuczynienie sumieniu powszechnemu, co powstaje i błyska ze wszech stron, skryć pod maskę hipokryzyjnego i oszukańczego *niewdawania się,* swe nieprzyjazne zamiary. Europa z kolei osądziła zdobywców“..... „Podwójny potok barbarzyńców i zarazy zbliża się jakby zmuszając odpokutować państwa, które pozwoliły skruszyć zaporę, ich ochraniającą za ich wspólnictwo zbrodni albo też ich obojętność; może być zatem, że ten egoizm strachu, to wyrachowanie materjalnych interesów, które powstrzymały nasz zapał, kiedyś zawalczą z nami“...... „Nie, Polska nie zginie; mamy zaręczenie nie w upewnieniach ministra, którego politykę chwiejną i trwożliwą Francja odrzuca i gani, lecz w sumieniu narodów, lecz w interesie Europy i niewzruszonej potędze cywilizacji.“ Na tej odezwie znajdują sie nowe imiona na poprzednich niepodpisane: *Bignon'a* i *Cabet'a* posłów, i *Taschereau* ex-sekretarza prefektury Sekwany.

Wiadomość upadającego powstania wywołała nie tylko przytoczoną odezwę. Była ona przyczyną upadku pożyczki narodowej noszącej tytuł *supsides polonais* Pożyczkę tę z rozkazu rządu narodowego miano zaciągnąć za granicą. Staraniem Chodźki, komitet centralny dla sprawy polskiej, zajął się jej zbieraniem. Pożyczka miała od 1838 roku przynosić po 4%; przed tym zaś czasem miały odbywać się loterje, tak że każdy bilet powinien był wygrać pewną summę od 150 do 600.000 złotych. Każdy bilet miał wartości 600 złotych czyli 365 franków. Zapisywanie na tę pożyczkę, wskutek moralnego zapewnienia i odpowiedzialności komitetu, szło dość pomyślnie i dochodziło już do 6 miljonów zł. Wszystkie departamentowe komitety miały polecenie rozpowszechniać o tem wiadomość i zbierać zapisy. Pisano w sierpniu na pełnomocnictwach dawanych przez komitet różnym osobom:

„Podpisany umocowany jest przez rząd narodowy polski do zrobienia pożyczki we Francji dla podtrzymania sprawy swych współziomków, jedynej pomocy jakie ani ich poświęcenie, ani ich bohaterstwo nie mogą im dostarczyć. Z przyjemnością więc i uznaniem dowiedział się on, że wasze współczucie dla sprawy własnego kraju podyktowało panu zawiązanie komitetu dla zbierania na odrodzenie Polski.“ Na takiej podstawie prosi się o rozszerzenie zapisów i o danie pożyczce tej jak największego możliwego rozpowszechnienia.

Pożyczką obiecali kierować i zajmywać się bankierowie: *Ferrère-Laffitte* et Comp., *Fould,* bracia *Mallet* i *Fould-Oppenheim.*

Jeszcze we wrześniu po raz drugi pisał komitet do całej Francji: „Jeżeli nie możemy bić się za Polskę, możemy zrobić mniej; ale zawsze jeszcze wiele bardzo. Rząd narodowy polski odwołał się do Europy; z tego to względu, po zapewnieniu poselstwa polskiego, trzy domy bankowe paryskie otworzyły pożyczkę. Do dziś wszystkie warstwy mieszkańców Francji dały dowody ich szlachetności; jest to pożyczka narodu, który Polska zobowiązała. To wezwanie będzie usłuchanem, Francuzi o ile to można stowarzyszą się z losem Polski; lecz trzeba by to stowarzyszenie się było wielkie, ogólne, powszechne; potrzeba by cała Francja wzięła w niem udział.“ A wystawiwszy konieczność każdemu posiadania przynajmniej jednej obligacji, dodaje: „Pożyczając kilka miljonów Polsce, które mogą ją zbawić, Francuzi ponoszą tylko czasową ofiarę; zawdzięczając bowiem wzniosłemu poświęceniu Polaków, mienie pospolite tego kraju składa się z mienia wszystkich.“ A w zakończeniu odezwy jest ta mocna wiara, że „Polska nie zginie; mamy jako zapewnienie jej niezwyciężone męstwo, wolę Francji, interes i współczucie Europy.“ Podpisało ten akt 79 członków, redagował Józef *Garnier-Pagès.*

Lecz powstanie upadło. Zaraza barbarji znowu zbliżała się do Europy i centralny komitet uznał za stosowne 15 listopada ogłosić sprawozdanie ze swych czynności. Czynność ta musiała być znaczną, jeżeli w najkrótszym czasie założył, jak sam wyznaje, 100 przeszło komitetów departamentowych dla pomocy Polakom walczącym.

Składki były zbierane wszędzie; „bogaci wnosili część swego złota; tam otrzymywano od biednych ich denary; obywatele-żołnierze i żoł-

nierze-obywatele nie mogąc pomagać Polakom swą szablą, pomagali im swemi ofiarami", powiada sprawozdanie.

Komitet przez ten czas wysyłał swych zdolnych pirotechników i kilkudziesięciu oficerów, a jak mówiłem już, przeszło 40 lekarzy opatrywało naszych rannych, zawdzięczając centralnemu komitetowi. On bowiem nie tylko wysyłał tych ludzi i dawał na drogę, lecz nadto zapewniał im roczne utrzymanie i powrót do Francji. *Magendie* i *Larrey* sami zajmowali się wyborem tych młodych ludzi wysyłanych. Każdy z chirurgów miał dane sobie narzędzia chirurgiczne.

Lecz i tak jeszcze komitet odesłał w gotówce rządowi narodowemu 102.700 franków.

(C. d. n.)

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

(Dokończenie).

Oddawna zadawano sobie pytanie, którędy dochodzą bakterje do naszego organizmu i dokąd się dostają. O ile dotąd wiadomo, główną ich dążnością jest: dostać się do krwi zwolna płynącej. Skóra naszego ciała i błona śluzowa powlekająca jamy i wnętrzności jego nie dostarczają dla ich rozwoju dostatecznych warunków. Zresztą codziennie dostają się do naszego żołądka wraz z pokarmami i napojami tysiące bakterji a mimo to nie wywołują one u nas chorobliwych objawów.

Jedynym organem dla wnijścia tych niebezpiecznych, niewidzialnych gości są płuca; zkąd łatwo dochodzą do krwi i naczyń włoskowatych. Zastanowić się wreszcie wypada nad własnościami hygienicznemi wody, powietrza i ziemi.

Jakkolwiek i pod tym względem nie wszyscy uczeni na jedno się zgadzają, to jednak teorja i doświadczenie przemawiają za tem, że tylko w nielicznych wypadkach woda pośredniczy w przenoszeniu się materji zaraźliwej. Najczęściej powietrze odgrywa rolę pośrednika, a pył powietrzny jest bezsprzecznie naszym największym niewidzialnym, siejącym w pewnych czasach i okolicznościach śmierć i zniszczenie. Ziemia, szczególnie dobrze wilgotna jest znowu głównem ogniskiem tworzenia się bakterji, zkąd łatwo wytłumaczyć sobie można wielką śmiertelność w krajach, gdzie mnóstwo bagien i moczarów, a klimat ciepły i wilgotny. Nasuwa się tu mimowoli pytanie, dlaczego pomimo to tak licznie się wytwarzających i w pyle powietrznym zawartych zarodników tak bakterji jako też i innych pasożytnych grzybków nie wywierają one zawsze szkodliwego na nasz organizm wpływu. Skuteczność działania owych drobnych ciałek zależy raczej od ich jakości, niż ilości, zresztą organizm nasz zachowuje się w obec nich odpornie i posiada zdolność wstrzymania ich rozwoju i uczynienia ich przezto w pewnych okolicznościach dla siebie nieszkodliwemi. Według skutku ich działania na substrat, podzielono je na 1) *bakterje drożdżowe*, których obecność wywołuje kiśnienie w pewnych płynach, skutkiem czego cukier na kwas węglowy i wyskok się rozpada. Zresztą mogą i inne powodować przemiany substratu, na którym lub w którym żyją.

2) *Bakterje barwikowe* zamieszkujące substancje organiczne wytwarzają w swoich komórkach właściwy barwik, który się udziela materji je otaczającej. Tak np. niebieska barwa mleka surowego a żółta przegotowanego, krwistoczerwone plamy na chlebie, mące, ziemniakach pochodzą od bakterji.

3) *Bakterje patogeniczne,* towarzyszą nie tylko chorobom rozmaitym lecz wywołują je najczęściej. W jaki to sposób się dzieje, pozostaje jeszcze do zbadania. Prócz tego również pozostaje do zbadania, jakie gatunki bakterji pojawiają się w pewnych chorobach i czy one zawsze są przyczyną ich pojawu i powstania, czy przypadkiem nie występują na organizmach chorych i nie przyczyniają się tylko do szybszego rozwoju choroby.

Z patogenicznych bakterji zasługują na wzmiankę te, które pojawiają się w pewnych charakterystycznych chorobach epidemicznych. Przedstawię choć dla przykładu niektóre ich gatunki, jakie dotąd poznano. *Spirochaete Obermeieri* (Cohn); bakterja cieniutka żyje we krwi ludzi chorych na tyfus powrotny (febris recurrens). Otrzymała nazwę od lekarza, który badając ją przed kilku laty umarł dostawszy jej do krwi. Pojawia się liczniej w czasie napadu choroby, najliczniejsza jest w chwili najbardziej spotęgowanych objawów (choroby) a później liczba się ich zmniejsza.

Bakterja pod nazwą *włoskowca policzkowego* (leptotrix buccalis Rob.) znajduje się obficie na błonie śluzowej jamy ust i języka, tudzież na zębach tak u ludzi chorych jako i zdrowych szczególnie z rana po wypoczynku nocnym.

Bakterja błonicowa (Micrococcus diphtericus Cohn) według mniemania wielu lekarzy jest powodem powstania choroby *błonicą* (diphteritis) zwanej, która początkowo według swego okazywania się i przebiegu miewa różne znaczenie. Przytem jest jużto chorobą lekką i przedewszystkiem lokalną, już znowu ciężką, powikłaną mającą zgubne następstwa. Bakterją błonicową znajdowano nie tylko w błonie śluzowej krtani i połyku, lecz nawet we krwi, w naczyniach limfatycznych, pomiędzy włóknami mięśniowemi i komórkami tłuszczu. Doświadczenia robione przez Oertla wykazały, że pomienione bakterje zatykają naczynia włoskowate, skutkiem czego następuje zastój w krążeniu krwi i w odbywaniu się wszelkich funkcji fizjologicznych, i że przez zaszczepienie krwi tą bakterją zakażonej, na organizmie ludzkim zupełnie zdrowym zarazę błonicową wywołać można. Choroba ta może się przenosić za pośrednictwem powietrza.

Inny gatunek tej samej bakterji pod nazwą *Micrococcus septicus* Cohn, występuje w rozmaitych przypadłościach ciała ludzkiego szczególnie w ropnicy. Dostawszy się do tkanki łącznej, wywołuje w niej zapalenie i ropienie. Sprawia także chemiczny rozkład krwi, i zatkanie naczyń krwionośnych.

I w innych chorobach zaraźliwych jako to: szkarlatynie, kokluszu, w zgorzelinie wykryto rozmaite gatunki bakterji; zbadanie ich dokładne natrafia jednak na ogromne trudności, gdyż największe z tych istot są zaledwie tak wielkie, że 2.000 razy powiększone przedstawiają się jak główeczka najmniejszej szpilki. Nie zdołano dotąd również przekonać się o obecności bakterji w ciele ludzi chorych na cholerę. Wprawdzie wykryli w r. 1867 równocześnie Klob w Wiedniu i Thome w Kolonji charakterystyczny grzybek, któremu dali nazwę *Cylindrotaenium cholerae*, lecz poszukiwania innych badaczy w tym kierunku nie odniosły pożądanego skutku. Uwagi godne były usiłowania rządu angielskiego celem wykrycia przyczyny pojawiania się cholery. Przed kilku laty wysłano do Indji wschodnich — głównego ogniska cholery azjatyckiej — dwóch lekarzy w celu wybadania wszystkiego, coby jakiekolwiek światło na jej szerzenie się rzucić mogło. Stacją tych badań była Kalkutta. Obserwacje były wykonywane z całą ścisłością i dokładnością przez dni kilkadziesiąt, badano powietrze, wodę deszczową. Wszystko to naprowadziło wzmiankowanych lekarzy do wykrycia mnóstwa bakterji, jednak nie zdołano wykryć jakiegokolwiek związku między ilością bakterji a codzienną liczbą chorych na cholerę zapadłych. Tak więc jedyna wzorowa obserwacja podjęta w celu dokładnego zbadania tej epidemicznej choroby doprowadziła do ujemnego rezultatu.

Jakkolwiek dotychczasowe spostrzeżenia co do pojawu mikroskopijnych istot organicznych w niektórych chorobach epidemicznych u ludzi, nie uprawniają nas do wydania orzeczenia, że one są jedyną przyczyną tych ostatnich, to pamiętajmy, że badania te niejako wczoraj rozpoczęto i że usiłowania ze skrzętnością przez uczonych przyrodoznawców w tym celu podejmowane doprowadzą do pewniejszych — niż dotąd — rezultatów. Człowiek pozostając ciągle w walce z licznym zastępem niewidzialnych nieprzyjaciół zszeregowanych w jedną zwartą falangę stara się go pokonać światłem swego rozumu. Słabą naturę uzbroił narzędziami, które mu wynagradzają ułomność jego zmysłów i otoczył się wynalazkami torującymi mu drogę do ciągłego postępu w doskonałości. Parą wodną zbliża lądy i morza ku sobie, iskrą elektryczną przesyła myśli swe na krańce kuli ziemskiej, mikroskopem odkrywa w nieprzejrzanej liczbie tworów ukrytych przed jego wzrokiem — swoich wrogów. Z postępem wiedzy i udoskonaleniem narzędzi naukowych, liczba ukrytych istot znacznie się zmniejszy, a wtenczas siebie i nasze plony od zgubnej rzeszy niewidzialnych nieprzyjaciół łatwiej ochronić zdołamy.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

— Czy nie odgadłeś pan dla czego i ja przybyłam tu z pańskimi gośćmi?

Federico giestem zaprzeczył.

— Czy i teraz pan nie zgadujesz jeszcze?

— I teraz nie.

— Potrzebowałam koniecznie rozmówić się z panem — ciągnęła dalej; potem zatrzymała się nagle, nie wiedziała bowiem jak tu przystąpić do rzeczy, wreszcie rzekła z lekką urazą w głosie:

— Nie pytasz mnie pan nawet, co mu mam powiedzieć?

— Słucham.

Ponowne milczenie.

— Czy to czerwony krzemień? — spytała Gabriella cokolwiek szyderczo.

— Nie, pani; to terracotta; tutaj jest czerwony a tu biały krzemień.

— Pokaż-że mi pan i żółty.

— Nie mam go; mieszkańcy tej wioski nawodnej, po której my dziś stąpamy, nie szukali sobie materjału do swych wyrobów po za obrębem swego pokładu należącego do jurajskiej formacji...

— Jakiej formacji?

— Jurajskiej.

Gabriella skrzywiła usteczka szyderczym uśmiechem i zamilkła na chwilę.

— Powinienbyś mi pan dopomódz — rzekła potem śmiejąc się — nie wiem doprawdy jak mam zacząć.

—Czemu nie?—odpowiedział Federico, który z smutnym na ustach uśmiechem stał teraz przed nią — gdy się zastanawiam nie sposób mi nie przyznać, że zachowanie pani jest całkiem naturalnem...

Gabriella popatrzyła na niego wielkiemi swemi, wymownemi oczyma — w spojrzeniu tem było pytanie.

— Dowiedziałaś się pani, żem zubożał — ciągnął dalej — i żal pani jest, żeś mnie na znaczny naraziła wydatek.

Dziewczę żywo wstrząsnęło głową.

— Chcesz pani odemnie coś odkupić, nieprawdaż?

— O, nie to; niestety ani ja jestem tak majętną, ani też trzy tysiące lirów mniej lub więcej nie zmieniłyby pańskiego położenia. A, jak też panu przyszło na myśl, żem mogła podjąć podróż aby trzy... aby trzy pocałunki od pana odkupić? Masz-że mnie pan za tak znów śmieszną?

— Inżynier Enea... robił mi też samą propozycję...

— W mojem imieniu?

— Nie, sądziłem przecież, że miał do tego prawo albo też, że działał w myśl pani.

— Ani trochę w myśl moją i nie miał też żadnego do tego prawa.

Gabriella wymówiła te słowa nieco nieopatrznie i niemało była zdziwiona szczególniejszą zmianą, jaką one sprawiły na jej słuchaczu. Temu naraz twarz się rozjaśniła, usiadł napowrót, a na ten raz na najbliższej już ławce — i rzekł wesołym tonem:

— Proszę, mów pani, przyrzekam, że na każde jej pytanie odpowiem z całą gotowością.

Teraz Gabriella popatrzała smutnie w rozjaśnioną radością twarz swego przeciwnika.

— Czy wiesz pan jakem ja zawiniła? — spytała go potem.

— Czy ja to wiem! — odpowiedział Federico z zabawną powagą.

— Popełniłam dziecinną psotę i jestem za nią surowo ukarana; patrz pan z jak szczerym żalem się rumienię.

Federico chciał temu rumieńcowi przyjrzeć się zbliska, wskutek czego naprawdę teraz się zarumieniła.

— Winną panu jestem spowiedź generalną, to będzie moją karą; chcesz mnie pan wysłuchać?

— I rozgrzeszyć nawet.

— Tylko nie tak spiesznie! Wiedz-że pan, że od pierwszego dnia gdyś pan przestąpił próg naszego domu, zauważyłam, że jestem panu antypatyczną...

— Protestuję.

— Proszę, pozwól mi pan wszystko wypowiedzieć; zauważyłam więc, że byłam panu antypatyczną i że pan, wzajem byłeś mi antypatyczym.

— Ah! — zawołał młody człowiek i już nie protestował.

— Gdyś pan potem przyszedł do nas, by nam odczytać list owej nieznajomej, która panu naznaczała *rendez-vous* na balu u baronowej C..., nie zdołałam uwierzyć, żeby to pana nie miało obejść i pańska lekkomyślność i próżność zdała mi się nie do darowania.

— I aby ukarać moją lekkomyślność...

— Popełniłam szaleństwo stokroć jeszcze bardziej nie do wybaczenia, które przecież nie chciałabym, byś pan uważał za większe niż jest rzeczywiście. Nie możesz pan wiedzieć, które listy pochodzą odemnie, które zaś od pańskiej nieznajomej; mnie zaś o to chodzi niezmiernie byś pan to wiedział i dla tego to powiadam, że w ogóle pisałam do pana tylko dwa razy. Jeden z tych listów zaczynał się słowami...

Naturalnie słowa te miała już na ustach, ale w chwili gdy je chciała wymówić, opanowało ją niepojęte dla niej zakłopotanie.

— Rozpoczęłam słowami... pozwól pan, chwilę... tak, to tak było: „Rozważyłam rzecz tę dokładniej...“

— To był ostatni list — a pierwszy?

— Doprawdy, nie przypominam sobie — a, tak pierwszy rozpoczynał się: Widziałam cię“...

— „Co za rozkosz dla mego serca!“ — uzupełnił Federico z całą powagą.

Twarz Gabrielli płonęła szkarłatem; wymuszony uśmiech okrążył jej usta.

— Inne listy niechaj panu i nadal pozostaną drogocennemi — rzekła po chwili — bo wszystkie pochodzą już od pańskiej nieznajomej.

— To jest od Romola i Gioachina.

— Rzeczywiście?

— Rzeczywiście; sami mi się przyznali.

— A jakiż był cel tego?

— Obadwaj starcy poczciwcy pisywali do mnie, by mnie rozerwać, wciągnąć w jakąś intrygę, spodziewając się, że tym sposobem uczynią mi przyjemniejszem życie... To był cel ich. I wiesz pani dla czego mnie teraz odwiedzają? Bo obawiają się, żem utracił cały majątek i uroili sobie, iż wskutek tego gotów jestem puścić się w podróż w świat inny, i nakoniec, że mają nadzieję przytrzymania mnie wczas jeszcze za połę.

— A...?—spytała Gabriella patrząc nań bacznie.

— A są najzupełniej w błędzie, bom nigdy tak bardzo nie kochał życia jak w tych dniach ostatnich. Czemu patrzysz pani na mnie tak zdziwiona? Bo... bo mnie pani uważasz za warjata!... ale, proszę, posłuchaj pani, ja dowiodę, że się mylisz.

— E, to próbują zawsze wszyscy warjaci — odpowiedziała filuternie Gabriella.

— Masz pani słuszność, będę milczał.

— Ale nie, proszę, mów pan.

— Dobrze. Przedewszystkiem: com ja stracił? Konie, powozy, zbytkowne meble i mieszkanie w Medjolanie; wielka wspaniałość! Chodziłem zawsze pieszo, nigdy nie przyglądałem się moim meblom a w domu tylko nocowałem, żal mi jednych koni; takie były do mnie przywiązane. Byłem bogatym a teraz jestem ubogim; jestże różnica tak wielka? Gdybym był czuł potrzebę rozrzucania pieniędzy lub znajdował był w tem upodobanie, byłoby mi trudno zrzec się tej przyjemności, być zmuszonym przełamywać tę potrzebę; ja przecież anim czuł potrzeby rozrzucania pieniędzy ani mi to sprawiało przyjemność. Gdyby mi kto w zeszłym tygodniu w zamian za połowę mego majątku ofiarował był dwadzieścia lat życia w przyszłości, to prawdopodobnie nie byłbym był przystał na ten układ; teraz wszakże gdy mi cały majątek odjęto nie mogę zrobić nic rozumniejszego jak za tę cenę skorzystać z prawa do czterdziestu lat życia w przyszłości i przeżyć je swobodnie do końca. Życie nasze — mówię tu o mojem tylko, panno Gabriello — podobnem jest do prawdziwego hawańskiego cygara: nic w niem nad dym i popiół; czasami zdarza się, że nie smakuje bogaczowi i odrzuca je przedwcześnie, podczas gdy ubogi z namaszczeniem wypala je do końca. Czemże jest życie samobójcy jeśli nie takiem wpół wypalonem cygarem! Wydaję się pewnie pani szaleńcem z mojemi teorjami?

— Prawie — odpowiedziała Gabriella; — ale powiedze pan czyś owe czterdzieści lat życia, które zamierzasz przeżyć wesoło zapłacił aż do ostatniego tygodnia?

Federico popatrzał na nią pomięszany przez chwilę, nie odrazu bowiem pojął znaczenie słów jej, potem zaśmiał się i rzekł:

— Właściwie nie; przesadziłem trochę, możem zapłacił za trzydzieści dziewięć, może tylko za trzydzieści ośm nawet, bo pozostaje mi jeszcze jakaś resztka majątku. Co więcej wyznać pani muszę, że gdybym rzeczywiście został skazany na przeżycie lat czterdziestu, nie wiedziałbym prawdziwie jak je przeżyć. Bo, jak pani wiesz, jestem ignorantem, całkiem bezużytecznym człowiekiem i nie umiałbym być ani posługaczem w jakim handlu ani nawet rębaczem... Mówią, że śmierć głodowa jest straszną a chleb żebraczy zadławił by mnie pierwszym zaraz kawałkiem... Co pani jest, panno Gabriello?... Nie gniewaj się na mnie... ze mnie warjat...

— Co się stało ze słońcem?...

— Skryło się za chmury... ot, wyjrzało znowu... mówmy o weselszych rzeczach; możebyśmy wyszli na świeże powietrze?

— Czy pozwolisz mi pan zadać sobie jedno niedyskretne pytanie?

— Owszem, proszę.

— Ile pozostaje panu majątku?

— Dotąd sam nie wiem jeszcze — odpowiedział Federico swobodnie;—odwiedziliście państwo moją willę a przecież nie bylibyście jeszcze w stanie wartości jej ocenić; tak samo niewiele ja wiedziałem w tej mierze aż do dnia wczorajszego. Są na niej różne hypoteki, które na szczęście przecież można umorzyć. Jeśli sprzedam część gruntów i odpędzę dzierżawcę, co mnie okrada, pozostanie mi przynajmniej tyle jeszcze ile do życia potrzeba; tak mnie przynajmniej zapewnia mój rządca. Jużem sobie wytknął program przyszłego życia: na anioł pański kładę się do łóżka a wstaję wraz z jutrzenką, będę pił świeże mleko, chodził w pole, doglądał ogrodu, studjował botanikę i geologję, czasami wychodził na polowanie lub oddawał się rybołowstwu, by na stole moim nie zabrakło ryby i zwierzyny; mam zamiar również zaprowadzić u siebie jedwabniki...

— Czy mówisz pan na serjo?

— A pani sądzisz, że żartuję? Ściśle nadzorować będę mych wydatków, starać się zwolna zwiększyć dochody i oszczędzać o ile można jak najwięcej, zdaje mi się, że to pożyteczniejsze niż próżniacza dotychczasowa egzystencja.

— Czyż taki rodzaj życia nie znudzi pana?

— Bynajmniej; moi przodkowie z epoki kamiennej będą mi dodawać dobrego humoru, są to poczciwi ludzie, wprawdzie nieco nieoszlifowani ale za to pełni geologji i paleontologji.

— Czyż więc teraz nie gardzisz pan już nauką?

— Nigdym nauką jako taką nie gardził, wzgardę miałem tylko dla zarozumialstwa pewnego gatunku uczonych.

— I nie twierdzisz pan już, że nauka jest bezsilną, skoro stała ci się pocieszycielką?

— Z pewnością nie; boć jeśli nauka jest zabawką, to wzajem znów człowiek pozostaje zawsze tylko dzieckiem.

Gabriella żywo wstrząsnęła głową a Federico prowadził rzecz dalej:

— Wyraźniej trzeba mi to wypowiedzieć, człowiek pozostaje wiecznie dzieckiem, wiedza zaś nie jest czemś w rodzaju manekina, w ktorym gdy się popsuje ukryta mechanika musi się go odrzucić, wiedza jest zabawką, co się przeobraża w dłoniach dziecka, co przy uważnej pieczy i zamiłowaniu coraz zda się powiększać i coraz pięknieje.

— Brawissimo!... na to się godzę.

— I dla tego— kończył Federico zadowolony, swem porównaniem — dla tego są ludzie, którzy przez ciąg całego swego życia grzeją się w wiedzy płomieniu, bawią się tą zabawką i ani na chwilę nie bywają znudzeni.

— Przepowiadam panu, że z czasem zostaniesz jeszcze wielkim paleontologiem, geologiem lub innym jakim logiem — rzekła figlarnie Gabriella. — No, a teraz chodźmyż ztąd, do ogrodu.

Na progu przecież stanęła nagle.

— Zanim w ten dom weszłam, poprzysięgłam sobie, że go pierwej nie opuszczę, pokąd z panem nie zawrę pokoju i przyjaźni. Podaszże mi pan rękę?

— Z serca.

— No, a teraz pańskie ramię.

Wyszli do ogrodu; promienie słoneczne połyskały złotemi barwy na łąk dalekiej zieleni i rzucały srebrne odblaski na żwir ścieżyn ogrodu.

Federico prowadził pod rękę swą uroczą towarzyszkę i szedł z nią lekl im skocznym niemal krokiem; czuł niezwykłą jakąś swobodę, wesołość, i nie zauważył bynajmniej, że na ustach dziewczęcia zawisł smutny uśmiech.

Na skręcie alei stanąwszy, dojrzeli w dali rozmawiających starych i czemprędzej zwrócili się w inną stronę.

— Federico! — wołał Gioachino.

— Wołają pana — rzekła Gabriella.

— Moglibyśmy później jeszcze połączyć się z nimi — odpowiedział; — co to pani chciałaś mi poprzednio powiedzieć?

- Nie wiem, doprawdy...

— Czy nie miałaś mi pani do powiedzenia co więcej?

— Rzeczywiście zdawało mi się poprzednio, żem tyle miała panu do powiedzenia, ale teraz nie mogę sobie nic z tego wszystkiego przypomnieć.

— Może się pani później to przypomni; przejdźmy się. Przecież teraz zostaliśmy przyjaciołmi i wzajem winniśmy sobie nieco zaufania, byśmy się lepiej poznać mogli; — czy nie zechcesz pani przejść jeszcze tej alei do końca?

— Chętnie.

Szli przez chwilę dalej w milczeniu.

Doszedłszy do alei zatrzymał się Federico, rozejrzał na wszystkie strony i rzekł:

— Panno Gabriello — gdy dwoje ludzi zawiera z sobą pokój...

— Ojciec nadchodzi! — przerwała mu Gabriella, zręcznie wyciągnęła z pod jego ramienia rączkę i odbiegła w przeciwną stronę.

Jemu przyszła ochota po chłopięcemu rzucić się na murawę.

A gdy już od dawna nie było i śladu Gabrielli, wciąż zdawało mu się jeszcze, że mu w dali migoce pośród świerków postać dziewczęca; tak w monotonności lat ubiegłych zatracona, wracała doń młodość.

Wtedy szybko porwał się z ziemi i pobiegł jak biedz może tylko szkolne chłopię długą aleją; wkrótce przecież zatrzymał się, odetchnął głęboko i rękę położył na piersiach, bo serce biło mu gwałtownie.

— Już biegać nie można — rzekł smutnie, ale pocieszył się niebawem tą myślą, że go też nikt do biegania nie znagla. (C. d. n.)

DO ***

Tyś rosą, którą z nieba sieje boża dłoń,
Jam jak jerychonka posuchą spalona;*)
Gdy zwilży rosa boża zwiędłą krzewu skroń,
Znów się zazieleni pożółkła korona.

Jak oazy krynica, Tyś duszy mej zdrój,
Wśród piasków Sahary palącej powodzi.
Tyś mi gwiazdą polarną; jasny obraz Twój
Na burzliwej toni przyświeca mej łodzi.

Tyś moją różą, z wszystkich najpiękniejszą róż,
Co wonią niebiańską upaja mą duszę.
Tyś wróżką, czarodziejką — ach! więc wróż mi wróż!
Aby mi ukrócić tęsknoty katusze.

Tyś mi palmą w pustyni, co roztacza chłód,
I od słońca żarów chroni karawany.
Ty w duszy mej mamideł złudny stwarzasz cud,
Bym nie padł wśród drogi zwątpieniem złamany.

Trojan.

CÓŻ NAM PO SŁOWACH?

Cóż nam po słowach! — Czyż da się w słowa
Zamknąć smutna naszych serc rozmowa?
Czyż mi nie mówi tęskne twe oko,
Co w duszy twojej kryjesz głęboko?
Czyliż słowa nigdy uczuciom nie kłamią?
Myśli w słów odmęcie nigdyż się nie łamią?!

Niech więc me myśli bez słów sukienki
Spłowiałej płyną, jak blask jutrzenki,
Okiem do twej duszy, jasnej czystej,
Niechaj myśl twa, jak w szybie przejrzystej,
Zwierciedli się w mojej duszy rozkochanej,
Świecąc w niej, jak gwiazda w przeźroczy źródlanej!

Trojan.

KORESPONDENCJE

Paryż, dnia 16. czerwca.

Pomimo zimnych i dżdżystych dni, któremi się od początku do końca odznaczał, miesiąc maj ożywił nieco zwyczajną ciszę kolonji polskiej w Paryżu. Obchód 3. maja w towarzystwie historyczno-literackiem; uczta sprawiona szanownemu dyrektorowi szkoły polskiej na Batignolles przez stowarzyszenie byłych uczniów tejże szkoły. Nabożeństwo w Montmorency; malarze polscy na wystawie paryskiej, a w końcu skandaliczny proces pana Ksawerego Branickiego, ojca, przeciw panu Augustynowi Branickiemu, synowi, o nieprawne noszenie tytułu *hrabiego;* oto niemały nabytek do kroniki polskiej ubiegłego miesiąca.

Wiadomo wszystkim, że w emigracji naszej nie ma już od dawna żadnego ciała politycznego stojącego wśród obcych na straży interesów narodowych, ale mimo tego braku wszelkiego życia zbiorowego, mimo tego ubytku jednego z dzielnych szermierzy w ojczystych szeregach, ogólny duch jest między nami zawsze dobry, wytrwały, odpychający zarówno rozpaczliwe doktryny naszych pseudo-konserwatystów, jak i szalone wybryki tej obcej rośliny, którą nazywają, według kraju, nihilizmem. Nasza, ale już na moskiewskich i ultramontańskich drzewach zaszczepiona „nowa szkoła historyczna“ rozwijająca się tak zuchwale pod patronatem *Czasu*, panów Tarnowskich, Szujskich i im podobnych amatorów średniowiecznej archeologji, nie ma między nami zwolenników, a przynajmniej o nich nic nie słychać. Tutejsi konserwatyści nie pojechali do Bolonji na otwarcie kursu literatury polskiej, bo tam Włochy trzymający Ojca Świętego w niewoli, nie wzięli żadnego udziału w kongresie literackim zebranym w Londynie, a to z tej jedynie przyczyny, że ów kongres, o zgrozo! miał obradować pod przewodnictwem tak strasznego radykała jakim jest Wiktor Hugo. Ale jestem przekonany, że nasze Towarzystwo historyczno-literackie nie przyjęłoby nigdy do swego grona takich np. potwarców historji jak Bobrzyński i Lisicki, albowiem podstawą i natchnieniem jego życia, jest ciasna wprawdzie i bojaźliwa, ale zawsze czysto narodowa tradycja, nieskażona najlżejszą pochyłością ku carskiemu despotyzmowi i ku panslawistycznej obłudzie.

Wszystkie też nasze zgromadzenia i obchody tem się głównie odznaczają, że jesteśmy tam sami sobą, z naszemi wadami i przymiotami w obec naszych własnych przekonań, bez wpływów obcych i bez oglądania się na żaden obcy interes.

Obchód 3. maja w towarzystwie historyczno-literackiem odbył się pod przewodnictwem księcia Władysława Czartoryskiego, co się rzadko zdarza, spodziewano się też czegoś nadzwyczajnego a usłyszano kazanie podyktowane zapewne przez jakiego Ojca ze zgromadzenia zmartwychwstańców. Pan Gasztowtt odczytał rozprawę pięknie jak zwykle napisaną, o świeżo odkrytym pamiętniku Słowackiego. W końcu odczytano sprawozdanie z czynności Towarzystwa. Nie było jednak na tym obchodzie, jak zwykle w Towarzystwie historyczno-literackiem, ani na chwilę ożywczego pokarmu dla słuchaczów. Chłód od początku do końca.

Za to rzewną, serdeczną była uczta wydana przez Towarzystwo dawnych uczniów szkoły Batignolskiej, zacnemu dyrektorowi tejże szkoły p. Stanisławowi Malinowskiemu. Przeszło 130 osób wzięło udział w uroczystości, a pomiędzy niemi kilkanaście dam, rodowitych Polek lub takich, które się niemi stały przez miłość dla mężów. Żałuję, że nie mogę podać wszystkich toastów i mów mianych na tem prawdziwie polskiem i braterskiem zgromadzeniu, gdzie się połączyły w jednej patrjotycznej myśli wszystkie stany, wieki i opinje; gdzie widzieliśmy, z jednej strony sędziwego selenizanta, który życie swoje ślubował

*) Róża jerychońska.

jednemu z najszczytniejszych zawodów publicznych, wychowaniu młodych pokoleń na pożytek małej i wielkiej rodziny; a z drugiej, młodzież polską, zrodzoną i wychowaną na obcej ziemi, która przyszła złożyć swojemu dyrektorowi hołd szacunku i wdzięczności, za te niezmordowane prace i poświęcenia, jakie przez 36 lat łożył, ażeby w niej rozwinąć i rozgrzać zamiłowanie rzeczy ojczystych.

Tegoroczne nabożeństwo w Montmorency odznaczyło się bardzo pięknem kazaniem o przyszłem oswobodzeniu Polski. Wymowny kaznodzieja francuski dowiódł, z wielką siłą przekonania, że Polska, jako wierna córa kościoła katolickiego, odzyska swoją niepodległość, bo jest potrzebną ludzkości. Już dawno nie słyszeliśmy we Francji, nawet z ust księdza katolickiego tak gorącej obrony praw narodu polskiego. Jeden z tutejszych dzienników radykalnych, *La Revolution française*, odważył się nawet przedrukować z książki wydanej w 1867 przez pana Edmunda Chojeckiego, pod tytułem Paris-Guide, wspomnienia *o trzech grobach w Montmorency* i wynurzył w końcu zadziwienie, że prasa paryzka milczeniem pozbywa uroczystości zarządzone na uczczenie tak chwalebnych imion jak Kniaziewicza, Niemcewicza i Mickiewicza.

Otóż i wszystko co do naszych majowych obchodów. Teraz muszę powiedzieć słów kilka o niemiłej bardzo dla ucha polskiego sprawie, ale darmo, musimy też wiedzieć jak się bawią niektórzy nasi panowie za granicą. Wieleby o tem było do pisania, w sferach bowiem naszej arystokracji dzieją się ciekawe rzeczy, tam można się dowiedzieć, jak pycha i próżność prowadzą do zbytków, zbytki do znudzenia i czczości, a te do złych albo do dziwacznych czynów, tam możnaby napotkać nieraz człowieka nazwiskiem i rodem Polaka, żyjącego i zbytkującego z potu ludu polskiego a nie wiedzącego czem jest na świecie, kotem czy baranem, czy też szkodliwym tylko pasożytem wśród ludzi.

Ale pan Ksawery Branicki należy do zupełnie osobnego rodzaju. Z procesu wytoczonego przed trybunałem francuskim dowiadujemy się, że familja Branickich pogodziła się z Moskwą, że ojciec pana Ksawerego był senatorem moskiewskim i adjutantem cara Aleksandra, że sam pan Ksawery był oficerem w armji moskiewskiej i odznaczył się na Kaukazie, że zmuszony, dla słabości zdrowia, wyjechać za granicę, zaskoczony został we Francji rewolucją lutego 1848, że wezwany do powrotu pod władzę cara nie mógł tego natychmiast uczynić a więc skonfiskowano mu dobra wartujące 10 milionów franków, odebrano mu tytuły szlacheckie i skazano go na wygnanie na Sybir; że od tego momentu Francja stała się przybraną ojczyzną hrabiego Ksawerego, że w 1853 miał syna z nieprawego łoża, którego starannie wychował, a któremu gdy doszedł do pełnoletności, zapewnił 25000 fr. rocznego dochodu.

Z drugiej strony dodać należy, że życie pana Ksawerego Branickiego, jak wielu naszych magnatów, odznacza się fantazją i kaprysem, wszystko zależy od tych dwóch przewodników pańskiej natury. Raz robi się tak, ażeby było znać pana po cholewach, drugi raz odpowiada się bez litości „nie chcę, nie mogę, nie mam.“ W czasie ostatniej wojny rzuca na ołtarz francuskiej wojny 500.000 fr. i ofiaruje 20-tą część swojego majątku na spłacenie pięciu miljardów haraczu, a dla własnej ojczyzny pokazuje się skąpym i nieczułym, i dla tego zapewne powiada w jednej z swych francuskich broszur, że jest pochodzenia *słowiańskiego*. Nieznany wcale z silnych przekonań religijnych, porzuca religję ojców i przyjmuje w zamian wyznanie anglikańskie, a przed kilku miesiącami wydaje własnym kosztem tłomaczenie i porównanie talmudu żydowskiego z Ewangelją, polecając gorąco czytelnikom to dzieło jako ważny materjał do pogodzenia dwóch wyznań.

Fantazji pana Ksawerego Branickiego nikt zapewne nie pogodzi i nie wytłómaczy, nikt się też nie dowie co go spowodowało do wywleczenia przed sąd publiczny nieznanych dotąd szczegółów, a które powinny były pozostać pod zasłoną. Każdemu wiadomo, że do chwili procesu pan Ksaw. Branicki używał wszędzie tytułu hrabiego; że uznając prawnie swego syna, nie excypował żadnego ze swoich szlacheckich tytułów; że to samo uczynił gdy go żenił z panną Stołypin i wyprawił mu książęce wesele; że umieszczając go jako attaché w ministerjum spraw zagranicznych, bynajmniej mu nie zabronił używania tytułu hrabiego.

Zkądże mu się wzięła dzisiaj ta spóźniona uległość carskim ukazom? Zkądże dzisiaj na kartach wizytowych zamiast Comte Xavier Branicki, czytamy zwyczajną szlachecką nazwę Xav. Branicki, a jeżeli mu się to chrześciańskie upokorzenie wydało potrzebną skruchą za przeszłość, to czyż należało narzucać je własnemu synowi i to kosztem nie bardzo pochlebnego sądu publiczności? Ale pańska fantazja, gniew ojca, a szczególniej arystokratyczny interes familji, nie znają granic. Przypuścić zaś nie możemy, ażeby cały ten proces był tylko wstępem do nowego pogodzenia się z Moskwą.

Sąd na mocy ukazu carskiego i feudalnych zwyczajów szlachectwa francuskiego przyznał rację ojcu, a syna skazał na pozbawienie tytułu hrabiego.

Nieprawdaż, że to sumienne, zwłaszcza pod rządem republikańskim?

O malarzach polskich na wystawie paryskiej w przyszłym liście.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Gdybyśmy nie już kroplę krwi angielskiej w żyłach, ale coś coś podobnego mieli do Anglików na sobie, np. rude bakenbardy, nos korjolański, lub przynajmniej grzywkę z włosów nad czołem, albo wreszcie kołnierzyki à la Salisbury — samo pióro sprawozdawcze pisałoby po papierze o wyścigach angielsko-janowskich, jakie się w zeszłym tygodniu odbyły. Klacz Tażowa, Margaritta, Holidly, Lohengrin, Orkan, lub wreszcie *Dodatek* pana Kaliksta Ochockiego byłyby tu zportretowane, wystudjowane, upoetyzowane, a o Dodatku pana Kaliksta Ochockiego skreślona prawdziwa elegja. Wystawcie sobie czytelnicy, że ten hultaj sam jeden z całego grona anglików, najwięcej okazał skłonności do romantyzmu, bo zrzucił jeźdzca do rowu, szczęściem że z wodą. Zamiast więc potłuczenia lub zabicia, skończyło się na kąpieli, która ze względu na tropikalny upał czerwcowy, wcale nie była zbyteczną.

Otóż nie mając tej żokiejsko-angielskiej żyłki w sobie, musimy się zapatrywać na wyścigi, jako na powszedni i normalny fakt życia lwowskiego, który podobnie jak febra powtarza się perjodycznie raz do roku, kosztując galicyjsko-austrjacką kieszeń kilkanaście tysięcy guldenów. Dziwna tylko rzecz, że c. k. administracja podatkowa, która z taką zapamiętałością tropi nawet biednych dyetaruszów biurowych i nikomu niczego nie przepuści, tu nie pobiera należytości podatkowej a nawet stemplowej od wygrywanych pieniędzy. Wszak to jest fach obliczony na dochód i zarobek, a przypuściwszy nawet, że i na pańską zabawę, to przecież z pieniędzmi ma do czynienia. Zwracamy zatem uwagę c. k. Dyrekcji skarbu na tę okoliczność, bo jeżeli płacą podatek wyrobnicy dzienni, pisma i wydawnictwa przynoszące pewną stratę przedsiębiorcom, dlaczegoż nie mają płacić wygrywający na torze wyścigowym.

Spełniwszy w ten sposób nasz obywatelski podatkowy obowiązek, powiemy o wyścigach, że się udały kompletnie. Sędziów nie brakowało, nagrody również były w porządku, tylko nie było koni, nie było powozów i zaprzęgów, nie było publiczności płatnej i nie było żadnego karkołomnego wypadku. Panowie Mysłowscy, ojciec hodowca i syn jeździec odnieśli prawdziwy tryumf, Holidly, Joung, Ta-owa najprzód pokazywały nosy u mety, Orkan pana Jarosławskiego również zwyciężył — wprawdzie tuman piaskowy tylko — ale zwyciężył. Rotmistrz Sölinger także coś dostał, lecz Lohengrin barona Heydla najlepiej wyszedł zagarnąwszy pierwszą cesarską nagrodę fl. 2000. Ot i wszystko co przyniosły wyścigi pod względem materjalnym. Inna rzecz ma się z moralnemi korzyściami wyścigów, na które c. k. rząd wykłada kilka tysięcy guldenów rocznie. Otóż na pierwszem miejscu postawiłbym rozbudzenie rycerskiego ducha w młodzieży i pogardę przeszkód z płotów i rowów; dalej udoskonalenie systemu wychudzania koni w ten sposób, aby mając tylko skórę i kości, mogły biegać. Doświadczenie to może zresztą być wielce użytecznem dla intendentury armji w czasie przechodu przez miejsca, gdzie trudno dostać owsa lub siana. Dalej rozpowszechnienie zamiłowania do chowu tyle użytecznych koni jakiemi są wyścigowe, co niezawodnie bardzo korzystnie oddziała na postęp ekonomiczny kraju. Jedna rzecz tylko raziła nas jako członka Towarzystwa Ochrony zwierząt, to bezlitosne okładanie spicrutą tych wychudzonych biedaków w czasie dobiegania mety. Żyd woziwoda, mający również tak wypasionego pegaza, jak wyścigowe, idzie do kozy za bicie konia kiedy ten iść nie może, a tu zaś przeciwnie za to samo dają się nagrody... No i szukać tu sprawiedliwości!... Jeden tylko Dodatek pana Ochockiego co miał więcej niż koński rozum, fiknął i niedał się.

Po wyścigach, drugie miejsce zajmuje wystawa starożytnych zabytków sztuki malarskiej znajdujących się we Lwowie, bo inną nie można nazwać tej, która się w gmachu Szkoły politechnicznej za biletami pokazuje. Specjalny nasz sprawozdawca, o ile wiemy już cały tydzień sili swój umysł, aby coś nowego w tegorocznej wystawie odszukać, kronikarz nie myśli mu ułatwiać tego zadania, zwraca tylko uwagę czytelników swoich, aby na wypadek zbłąkania się w tamte strony, zechcieli przypatrzeć się dobrze osobliwszym skokom pewnej tęgiej kobiety, którą p. Gerson z Warszawy nadesłał. A jest tam i druga tego samego artysty w batystowej sukni z piersią chorą na raka. Proszę bardzo przypatrzeć się tym kreacjom, czy karnacjom, a nie będziecie potrzebowali chodzić na sztuki gimnastyczne, ani do gabinetów anatomicznych. Obok tych płodów, warto przypatrzeć się i tej damie

p. Mireckiego zagapionej z balkonu ma morze. Co za nos wydatny ma ta imość, skoro go wśród ciemnej nocy można zobaczyć rysującym się na tle czarnych chmur brzemiennych burzą. Są tam jeszcze i inne cuda natury, naprzykład drzewa sięgające obłoków — ale nie będę tego opisywał; najlepiej idźcie szanowni czytelnicy i obejrzyjcie sami — ja składam pióro!

Festyn w tym tygodniu mieliśmy jeden — na dochód zakładu św. Teresy, festyn bezpłatny a jednak z loterji fantowej przyniósł coś więcej niż 1000 fl. czystego dochodu. Swiadczy to o prawdziwej sympatji dla tej instytucji i dobrem sercu Lwowian, które reżyserowie festynów tak niesłusznie obmawiają. Publiczność nasza wie gdzie i komu potrząsnąć kieską. Marnotrawna córka nasza opera już powróciła z Krakowa jak się zdaje z lekką kieszenią i lżejszym personalem, ubyły albowiem z niego dwie dość *ważne* osoby, pani Caraciolli i p. Bossi, które jak krakowscy korrespondenci zapewniają, pomimo takich upałów nie stopiły się, lecz cało wyjechały za granicę. O wyborach, o zmartwieniach komitetu, zmartwieniach *Czasu*, zmartwieniach pretendentów i innych wyborczych umartwieniach doniesiemy na przyszły tydzień. Nie mamy zwyczaju spieszyć się ze złemi wiadomościami, szczególniej dla redakcji *Słowa*, które wbrew wszelkim przewidywaniom i szlachetnym tendencjom swoim nie ma nadziei stania się ciałem moskiewskiem w Galicji.

* * *

(B.) Zwracamy uwagę czytelników naszych na dwa ostatnie numera „Kłosów" warszawskich, a w szczególności na korespondencję Dra Antoniego J. zatytułowaną „Wrażenia i wędrówki w r. 1879". Dr. Antoni J. w ostatnich paru latach zyskał sobie popularne i rozgłośne imię swemi obrazkami historycznemi, pisanemi z werwą i pełnemi fantazji.

Dr. Antoni J. uważany był za poważnego i sumiennego pisarza.

Dr. Antoni J. otoczony był mgłą tajemniczości, co mu jeszcze więcej dodawało powagi.

Dr. Antoni J. kochał Lembergerkę, która mu się odpłacała wzajemnością i drukowała multum feljetonów.

Ostatnią pracą Dra Antoniego J. jest wzmiankowana na czele korespondencja w „Kłosach."

Dr. Antoni J. prawdopodobnie więcej korespondencji tego rodzaju już pisać nie będzie, bo zaczętoby w świecie kiwać głowami nad tem co pisze w innej materji. Korespondencja ta, to stek śmiesznych, marnych, banalnych fałszów, które by dziecko lwowskie zbić potrafiło.

Mais c'est une blague infecte, szanowny doktorku — dajcie na miłość Boga pokój takiej zabawce — bo śmiać się z Was mocno zaczną. Kto potem będzie wierzył temu co napiszecie? Możecie panie konsyljarzu, wziąć Warszawę „na kawał," możecie wziąć dobroduszne i bezbarwne „Kłosy", ale nie uda się to na czas dłuższy. Pamiętajcie o zasadzie *„ne sutor ultra crepidam"*, szyjcie wasze historyczne trzewiczki, lecz dajcie przez miłość własnej powagi pokój opisywaniu stosunków, o których ani pojęcia ani wyobrażenia nie posiadacie, a nawet „pojęcia o wyobrażeniu."

Oto dowody:

Na samym początku rozdziału „Lwów" piszecie, że niektóre ulice jak Majera, między innemi mianowane są na pamiątkę ludzi zasłużonych w kraju. Stawiacie ulicę Majera obok ulic Mickiewicza, Czackiego i innych. Otóż ulica Majera nie jest tak nazwaną od prezesa Akademji krakowskiej albo innego jakiego Majera, którego szanowny konsyljarz uważa za znakomitego człowieka, lecz poprostu dla tego, że grunta pod ulicę darowane były miastu przez pana Majera, Niemca, ich właściciela, pod warunkiem, że ulica zwać się będzie Majerowską. Takich ulic mamy kilka a może i więcej we Lwowie.

To błąd pierwszego ustępu.

Drugi ustęp pisany z zacięciem sarkastycznem powiada, iż Lwów jest europejskiem miastem, bo obciąża swój budżet niepotrzebnym deficytem. W dowód tego przytacza liczby, o których nie ma pojęcia. Wszyscy bowiem wiedzą, iż w budżecie wydatków zwyczajnych nie ma deficytu, a nadwyżka w wydatkach nadzwyczajnych jest konieczną, bo są to pieniądze zużyte na budowę szkoły i wielkiego kanału, które w jednym roku z dochodów nie mogą być pokryte.

To treść drugiego ustępu.

W trzecim autor powiada, iż Lwów patrzy tylko w przyszłość, a o pamiątkach zapomina i że napędza go tylko p. Stanisław Kunasiewicz. Umarł już on przed kilku tygodniami, a gdy żył, nikt go nie czytał i nie brał na serjo, bo na serjo brać nie można było ze względu na brak inteligencji. Może Dr. J. poznał się pierwszy na tym człowieku.

I tak dalej, jeden ustęp podobny do drugiego. Fałsze i blagi piętrzą się jak w jakiej grupie plastycznej. Nie będziemy wszystkich ustępów przytaczali, bo zajmować się nadto szczegółowo tym przedmiotem nie warto. Brak wszelkiej znajomości stosunków jest aż nadto widocznym. Zwrócimy więc uwagę tylko na najgłówniejsze punkta, aby nie zarzucono nam, iż niesłusznie na Dr. J. napadamy.

Pisząc o sprawie Hausnera i o secesji, tonem monoklowego hrabiego galicyjskiego powiada, iż popiera go „ulica". Czy to poszepnął mu pan Łoziński cicerone Dra w świecie politycznym i literackim lwowskim? Czyż ulicą nazwać można znaczną ilość profesorów uniwersytetu, szkoły politechnicznej, doktorów itp., którzy panu Hausnerowi, czy „panu Ottonowi", jak go raz Dr. J. poufale nazywa, poparcie dali! Otóż „mój panie Antoni" w tym ustępie jest zła wiara, bo nie mogłeś o tem nie wiedzieć, że przeważna część inteligencji naszego miasta należy do zwolenników Hausnera.

Jako przykład stylu, dowcipu, logiki, przedewszystkiem logiki autora, przytaczamy jeden ustęp: „Ulica więc żyje nad Pełtwią, co większa ma nawet swoją prasę, która jej schlebia, często jej języka, zbyt może dosadnego używa, a porównania równie szczodrze, jak Niemcy, czerpie w przeszłości; przecież sprawę Hausnera mianem targowicy napiętnowała. Trochę to zaśmiało... Przepraszam, omyliłem się, nie ulicy to zasługa; zaszczyt wynalazku należy pod tym względem salonom... ulica bowiem p. Hausnera ubóstwia".

Ulica, która ubóstwia Hausnera piętnuje jego sprawę mianem targowicy, lecz autor się myli, następuje kilka kropek i antyteza salonu i ulicy...

Gdzie sens, gdzie logika?

Nareszcie autor przechodzi do prasy zastrzegając się, iż da kilka danych statystycznych. **„Liczby" powiada „stanowią ton w dzisiejszej społeczności".** Na to powiemy doktorowi, że fałszywe liczby które cytuje, *dobrego tonu* bynajmniej nie stanowią. Mieliśmy już jeden przykład przy budżecie miasta Lwowa. Przy datach dziennikarskich znajdujemy ich więcej.

Gazeta Lwowska cieszy się naturalnie najwyższem uznaniem p. Dra J. Redaktor Wł. Łoziński powiada, postawił pismo na nogi, zjednał mu licznych prenumeratorów i zapewnił istnienie, bez wydatków rządowych. Najciekawszem jest zdanie o p. Władysławie Łozińskim, o którym powiada iż politykę prowadzi w duchu rządu i prowadzi ją *ze spokojnem sumieniem*. Otóż p. Łoziński nie prowadzi żadnej polityki, bo mu jej prowadzić nie wolno, jest poprostu c. k. redaktorem, który musi drukować to, co mu namiestnictwo nadeszle i w duchu w jakim mu każą, zależnie od chwilowych warunków politycznych, w których wytworzeniu p. Łoziński żadnego udziału brać nie może. Że ze spokojnem sumieniem to czyni, że talentem swym popiera tendencje rządowe, nieraz przeciwne tendencjom polskim, to rzecz p. Łozińskiego i nie zazdrościmy mu tej „lekkości" przekonań i spokoju wypływającego z ofiary własnego zdania.

O czasopismach politycznych popisał Dr. J. takie głupstwa i okazał tyle ignorancji stosunków miejscowych, że o tem mówić nie warto. Dziwi nas tutaj tylko niedbałość Redakcji Kłosów, która przepuszcza takie banialuki.

Księgarstwo jest opisane najwidoczniej z celem reklamy dla p. Gubrynowicza. Chwali jego akuratność, grzeczność, wyrozumiałość i cierpliwość szkoda że nie dodał jeszcze kilku innych cnót jak miłość, wiarę, nadzieję, piękność, szlachetność, szkoda że nie napisał iż p. Gubrynowicz jest bardzo przystojnym i że jego sklep mieści się przy ulicy takiej a takiej, pod numerem takim a takim. Nie mamy nic przeciwko reklamowaniu wydawcy dzieł Dra. J., ale przecież pisząc sprawozdanie ogólne trzeba było wspomnieć o innych księgarniach, które dla wydawnictw równie zasługi położyły i istnieją od znacznie dawniejszego czasu.

Wyliczając nazwiska znakomitszych osób wykładających w uniwersytecie, politechnice i gimnazjach, wylicza kilka imion, jak Rościszewskiego, Warnki, Urbańskiego, którzy wcale nie wykładają. Z tych trzech Dra. Rościszewskiego od roku nie ma we Lwowie, Warnka ma dopiero przyjechać jeśli go mianują a Wojciech Urbański nie wykłada od znacznej liczby lat wcale.

Znanymi po za szkołą literatami są, bracia Zawadzcy, Henryk Szmidt, Dr. Stella Sawicki, Schneider, Lam i Rogosz.

Chwała Bogu, że Dr. J. ręczy potem że jeszcze wszystkich nie zaregestrował. I tak dalej, i t. d.

Te przykłady wystarczą do wykazania, jak lekkomyślnie, jak fałszywie przedstawił Dr. J. stosunki lwowskie. Geneza korespondencji jest łatwą do odgadnięcia. Przyjechało się do Lwowa, pogawędziło się z panem Łozińskim, poszło na spacer z panem Gubrynowiczem i wyjechawszy napisało sążnistą korespondencję, ze stanowiska wielkiego i bezstronnego sędziego, stojącego o wiele wyżej niż słaba intelligencja miasteczka Lwowa.

Ne sutor ultra. . . . .

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Kosmos*, czasopismo polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie IV z r. 1879, zawiera: 1. Nowe foraminifery kredowe marglu lwowskiego, opisał Emil F. Dunikowski, dok. 2. Automatyczny spektroskop Browninga przez L. J. Bodaszewskiego. 3. Przegląd krytyczny podręczników używanych do wykładu nauk przyrodniczych w galicyjskich szkołach średnich przez Dr. J. L. Petelenza. 4. Notatki naukowe. 5. Kronika naukowa przez Dr. A. Mikołajczaka, M. D. Wąsowicza i J. L. 6. Wiadomości bieżące.

⁂ *Dwutygodnik naukowy*, poświęcony Archeologji, historji i lingwistyce, w zeszycie za miesiąc czerwiec zawiera: I. Teorja wpływów kultury fenickiej, c. d. II. Denar kaliski Kazimierza W. przez Seweryna Tymienieckiego. III. Historja i systemat języków semickich Renana w obec najnowszych odkryć w piśmie klinowem. J. Radlińskiego. IV. Posiedzenie Akademji i Towarzystw naukowych. V. Wiadomości.

⁂ *Marja Stuart*, dramat Juljusza Słowackiego został przełożony na język niemiecki przez Ludomiła Germana i wydany w Lipsku, nakładem Wilhelma Friedricha.

⁂ *Śpiewnika polskiego* wyszedł z druku zeszyt 10. kończący tom drugi, który obejmuje 177 piosnek religijnych i religijno narodowych.

⁂ Bibljoteki Mrówki opuściły prasę tomiki 77 i 78. A mianowicie: Alojzego Felińskiego *Barbara Radziwiłłówna* i Ignacego Krasickiego *Wojna Chocimska*. Każdy tomik po 20 centów. Również opuściły prasę w nowem wydaniu Wł. Syrokomli *Janko Cmentarnik* i I. Krasickiego, *Bajki i przypowieści*.

⁂ Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu, ogłasza konkurs na zadanie następujące; „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio północnych między Elbą a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową, aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych“. W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na: *a*) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowej, *b*) stan kultury tychże plemion w owej epoce, mianowicie z rzutem oka na religję, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle; *c*) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególnem uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion; *d*) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską. Praca wyczerpująca w zupełności ten przedmiot oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1500 marek nagrody.

Jeśliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra tj. odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania, otrzyma 900 marek nagrody. Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem. albo też rozdzielą się między rozprawy przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące. Prace nagrodą uwieńczone, pozostają własnością autorów; którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeśli uzna za stosowne, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa Rękopism prothers musi pozostać w rękach zarządu. Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem. Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1 października 1879 roku pod adresem Hieronima Feldmanowskiego w Poznaniu, ulica Młyńska nr. 35.

⁂ Akademja Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs imienia S. B. Lindego na warunkach następujących: 1. Przedmiotem konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mogące posłużyć do uzupełnienia słownika Lindego, a mianowicie monografie z zakresu gramatyki, historji języka i jego związku z innemi słowiańskiemi, zwłaszcza starosłowiańskim, prowincjonalizmów językowych, opracowane w sposób odpowiedni dzisiejszym wymaganiom naukowym. 2. Prócz tego ostatniego warunku, wymaga się od każdej pracy, mającej być przedmiotem konkursu, ażeby stanowiła pewną w sobie zaokrągloną całość. 3. Nadsyłane być mogą prace, równie w rękopismach jak i drukowane w ciągu trwania niniejszego konkursu. 4. Praca za najlepszą uznana, otrzyma nagrodę w ilości 665 rs. 5. Termin konkursu ustanawia się najdalej do 1. stycznia 1882 r. 6. Przyznanie nagrody i zawiadomienie o przyznaniu na publicznem posiedzeniu, nastąpi w pierwszych dniach maja, wypłata zaś w dniu 8. tegoż miesiąca.

Gdyby praca uwieńczona, była już drukowaną poprzednio, autor przed wzięciem nagrody, złoży w Akademji 50 egzemplarzy; pracę rękopiśmienną winien autor ogłosić drukiem, najdalej w ciągu jednego roku i nadesłać Akademji 50 egzemplarzy, w przeciwnym razie Akademja postąpi z rękopismem według własnego uznania. W razie ogłoszenia go drukiem, nadeszle autorowi 50 egzemplarzy.

⁂ *Gwiazda*, pisemko prowincjonalne, wychodzące w Tarnowie, zostało przez c. k. Starostwo zawieszone. Zanim wydawca wskutek rekursu otrzyma pozwolenie na dalsze wydawnictwo, tymczasowo, aby nie pozbawić czytelników pisma, założył nowe pod nazwą *Saturn* i takowe rozsyła swoim klientom. — Okazuje się, że i tam gdzie nie ma prokuratorji znajdą się władze utrudniające wydawnictwo pism perjodycznych. Niech żyje wolność prasy w Austrji.

⁂ Redakcja czasopisma *Inżynierja i budownictwo*, w ostatnim numerze ogłasza konkurs z nagrodą w ilości rs. 300 za najlepszy projekt systemu wentylacji domów mieszkalnych. Główne warunki konkursu są: zapewnienie skuteczności działania wentylacji w każdej porze roku, prostota konstrukcji, taniość, tak, iżby zaprowadzenie w nowych budowlach projektowanego systemu bezwarunkowo nie było droższem od dotychczas używanych, a niedostatecznych systemów wentylacyjnych — możność zastosowania takiej wentylacji we wszystkich częściach domów mieszkalnych, jak kuchnie, komórki, korytarze itd. Inne warunki do pozyskania nagrody zastrzeżone, dotyczą więcej formy niż treści i dlatego pomijamy je tutaj ograniczając się na wyrażonem uznaniu dla redakcji, dającej podnietę do pożytecznej pracy.

⁂ Kongres literacki w Londynie mianował członkami komitetu honorowego: księcia Walji, lorda Beaconsfielda, Gladstona, Halbergera, Cotta, Pawla Heysego, Jokaya i Longfellowa; następny kongres odbędzie się w Lizbonie.

Wiadomości społeczne.

⁂ Rektorem wszechnicy lwowskiej na rok przyszły, został wybrany dr. Ksawery Liske, a dziekanem wydziału teologicznego dr. Watzka. Jednocześnie wybrano dziekanem fakultetu prawnego dr. Edwarda Rittnera, a delegatem tegoż fakultetu ponownie dr. T. Pilata; delegatem wydziału teologicznego ks. dr. Klossa; a prodziekanem w miejsce ustępującego ks. biskupa Sembratowicza, ks. dr. Delkiewicza.

⁂ Berlin 16. czerwca, młodzież tutejszego uniwersytetu aktem publicznym uczciła jubileusz Kraszewskiego. Reprezentowaną była młodzież wszystkich uniwersytetów. Posiedzenie było niezwykle poważne i pełne szlachetnego nastroju.

⁂ Kraszewski otrzyma wkrótce od uniwersytetu jagielońskiego dyplom doktora filozofji, a uniwersytet lwowski przyznać ma Kraszewskiemu w dzień jego jubileuszu stopień honorowego doktora filozofji.

⁂ Ludność ziemi. W jednym z ostatnich zeszytów słynnego czasopisma geograficznego dr. Petermana znajdujemy ciekawy obraz współczesnego zaludnienia ziemi, który, jako najświeższy wynik wiedzy, podajemy tutaj w streszczeniu.

Ludność na całej kuli ziemskiej wynosiła w 1877 r. 1,429,145,000 głów. na przestrzeni 134,460,000 mil kwadratowych; przeto na jeden kilometr kwadratowy przypada 10·7 mieszkańców.

Pomiędzy pojedyńcze części świata dzieli się ta ogólna cyfra w następujący sposób: na Europę przypada 312,398,480, na Azję 813,000,000, na Afrykę 205,219 500, na Australję i jej wyspy 4,411,300, a na Amerykę 86,116,000 mieszkańców.

Od roku 1875 do końca 1877 urosła ogólna liczba głów zamieszkujących ziemię o 42 miljony; przyrost ten jednak nie wypływa jedynie z wyższej cyfry wypadków urodzenia niż śmierci, ale zdaje się być skutkiem ściślejszego obliczenia ludności. zwłaszcza w Indjach i Europie, jakoteż z dokładniejszego poznania wielu okolic, przedtem niedostępnych dla statystyki.

Przejdźmy teraz do obliczenia ludności w państwach europejskich; według tych wyników, Belgja liczyła w 1877 roku 5,336,185 mieszkańców, Niderlandy 3,865,456, Anglja 34,242,966, Włochy 27,769,475, Niemcy 42,727,360, Francja 36,905,788, Szwajcarja 2,759,854, Austrja 37,350,000, Danja 1,903,000, Hiszpanja 16,526,511, Portugalja 4,057,538, Grecja 1,457,894. Turcja europejska bez państw hołdowniczych 9,573,000, Rosja (europejska) 72,392,927, Szwecja i Norwegja 6,237,268.

Jeżeli porównamy liczbę dorosłych mężczyzn z liczbą takichże kobiet, to znajdziemy na wyspach Kanaryjskich na 1000 mężczyzn 1208 kobiet, w Szwecji 1064, w Szwajcarji 1045, w Anglji 1043, w Niemczech 1037, w Austrji 1024, w Rosji 1022, w Hiszpanji 1016, we Francji 1007, we Włoszech 989, w Belgji 985, w Grecji 983, w okolicach równika 1139, w północnej Ameryce 978, w Brazylji 938, w Egipcie 1025, w Japonji 971, w Syberji 934

Podczas kiedy w Afryce, Ameryce, Azji i Australji liczba dorosłych kobiet mniejszą jest od liczby takichże mężczyzn, stosunek ten ma się odwrotnie w Europie; tutaj bowiem przypada w przecięciu na 1000 mężczyzn 1022 kobiet.

Jestto ciekawem zjawiskiem, o ile że dokładne obliczenia statystyczne we Francji, Niemczech, Anglji i Belgji wykazują, że w Europie liczba narodzin mężkich wyższą jest od liczby żeńskich, a mianowicie na 1000 żeńskich przypada 1066 mężkich.

Zjawisko to nie jest luźnem i przypadkowem, ale powszechnem i stałem; powtarza się ono z taką prawidłowością, że świat uczony nie wahał się go nazwać prawem natury.

Thomissen w dziele swojem: „Ludność ziemi w stosunku do praw natury“ dowodzi niezbicie istnienia takiego opatrznościowego prawa a przyczynę jego wysnuwa z naturalnego porządku świata.

Większa liczba mężkich narodzin potrzebną jest dlatego, ponieważ niedocieczone dotąd prawo śmiertelności skazuje na śmierć przedwczesną większą liczbę chłopców niżeli dziewcząt.

⁂ *Przegląd katolicki* donosi, iż według „Tablic statystycznych Hübnera“ liczba katolików wynosi w Rosji 7,500.000, w Niemczech 14,900.000, w Austrji 23,900,000, we Francji 35,390.000, w Wielkiej Brytanji 5,900.000, we Włoszech 26,000.000, w Hiszpanji 16,500.000, w Belgji 4,920,000, w Holandji 1,235,000, w Szwecji i Norwegji 500. Liczbę zaś wyznawców Mojżesza podaje w Rosji 2,700.000, w Niemczech 512,000. w Austrji 1,375,000, we Francji 118,000, w Wielkiej Brytanji 16,000, we Włoszech 36,000, w Belgji 2,000, w Holandji 64,000, w Szwecji i Norwegji 2,000.

⁂ Markiz de Caux przesłał impresarjowi Merelli zawiadomienie, iż nie zezwala na występy gościnne Adeliny Patti w teatrze Gaité. Mereli odpowiedział, iż nie zna markizy de Caux, lecz Adelinę Patti, i że z nią tylko zawarł umowę. Równocześnie Merelli wniósł skargę do sądu handlowego przeciw dziennikowi *Gaulois*, który na podstawie oświadczenia markiza de Caux ogłosił, iż występy Adeliny Patti w Gaité nie przyjdą do skutku, o zapłacenie 200,000 franków tytułem straconych korzyści.

⁂ Od 4 do 8 sierpnia odbywać się będą w Cork posiedzenia lekarskiego kongresu Britisch Medical Association. Do stowarzyszenia tego należy przeszło 8,000 angielskich, szkockich i irlandzkich lekarzy. Profesor Denis O'Connor z Queens-Colege w Cork będzie przewodniczył. Najstarsi profesorowie medycyny przyrzekli mieć odczyty.

⁂ Z Meksyku donoszą, iż w dniu 17 maja nastąpiło tam trzęsienie ziemi, które sięgało od Vera-Cruz do stolicy. W Cordowie wiele domów zwalonych. W Orizale wszystkie kościoły i mosty oraz wiele domów mieszkalnych runęło.

⁂ 12. czerwca piorun uderzył w fabrykę petroleum Warden Frew et Comp. w Point Breere, poniżej Filadelfji. Fabrykę ogień zniszczył zupełnie. Szkody obliczają na 500,000 dolarów. Prócz tego

uległy spaleniu: niemiecka barka „F. Rochs“, włoska barka „Giuseppe Quanto,“ rosyjski szooner, austrjacka barka i norwegski okręt „Hudson.“

*** W Ameryce w blizkości Newark w stanie Vermont zatrutych zostało 27 dzieci wodą z potoku, do którego wpierw rzucono zwłoki zwierzęcia. 10 dzieci umarło. Co do wyzdrowienia reszty mała bardzo jest nadzieja.

*** W Woolwich odbyła się próba nowego działa 100-tonnowego. Działo to wygotowane zostało przez fabrykę Armstronga i kupione przez rząd za sumę 16,000 funtów szterlingów. Ładunek prochu ważył 440 funtów, pocisk 18 cetnarów. Przepisana szybkość strzału wynosi na sekundę 1590 stóp.

*** Stwierdzono notarjalnie, iż zmarły w tych czasach w Londynie baron Lionel Rotschild zostawił majątku osobistego 13 miljonów funtów szterlingów (260 miljonów marek) czyli o 7 miljonów więcej od swego brata Meyera, jednak o 7 miljonów mniej od zgasłego przed kilku laty w Paryżu James'a de Rotschild.

*** Wczoraj koło Strasburga w Bisheim przeciągały przez kilka godzin nad miastem miljony motyli. Leciały one na północ. Motyle te, barwy czerwonej i szarej, przybywały ścieśnionemi chmurami, tak wielkich rozmiarów, iż chwilowo zapanowała ciemność.

ROZMAITOŚCI.

Czytamy w Kurjerze warszawskim.

Onegdaj nad wieczorem gruchnęła po mieście naszem pogłoska o strasznej katastrofie na kolei wiedeńskiej.

Mówiono o... „zerwaniu się chmury“ w okolicach Zawiercia.

Wieść tę poczęto wczoraj podawać sobie z obszernemi szczegółami.

Postaraliśmy się więc o wypadku pewniejszych u źródła zasięgnąć wiadomości.

Udaliśmy się tedy do biur kolei wiedeńskiej, gdzie otrzymano następujący z miejsca katastrofy: telegram:

„W dniu 14. b. m. o godzinie drugiej po południu pomiędzy stacjami Myszków a Zawiercie na linji drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, woda skutkiem ulewy, zerwała pięć mostów i uszkodziła w wielu miejscach plant drogi i na stacji Myszków; komunikacja przywróconą być może tymczasowo nie prędzej jak za kilka dni“.

* * *

Wypadek, jak z telegramu widać, bardzo znacznych dosięga rozmiarów, dla skonstatowania więc katastrofy na miejscu, natychmiast wczoraj wysłaliśmy tam jednego z naszych spółpracowników.

W tej chwili oczekujemy jego telegramu, a jutro— obszerniejszych relacyj.

Tymczasem podajemy tu wieści o wypadku krążące po mieście.

Pociąg idący z Warszawy miał być właśnie zaskoczony przez oberwanie się chmury, połączone z wezbraniem małych rzeczek i przerwaniem grobli...

Masa wody uderzyła na plant, niszcząc go i przerywając mosty.

Zniszczenie ma być trudne do opisania.

Tu i owdzie pozostały na linji szyny wiszące z podkładami.

Pasażerowie pociągu pozostawali cały dzień w polu.

Wreszcie, chcąc wydostać się z matni musieli brnąć w wodzie.

Dla naprawienia uszkodzeń większa część służby ruchu musiała się udać na miejsce.

Ruch pociągów na przestrzeni uszkodzonej, rzecz prosta, wstrzymany, tak że chodzą one tylko pomiędzy Warszawą i Częstochową z jednej, a Zawierciem i Sosnowicami z drugiej strony.

Komunikacja przerwana zostanie na czas dłuższy.

* * *

Prawie w chwili oddania na prasę numeru otrzymujemy wreszcie list prywatny ze stacji Poraj opisujący szczegółowo katastrofę.

Dowiadujemy się zeń, że straszna burza na linji kolei warszawsko-wiedeńskiej zerwała się onegdaj około godziny 1 w południe przy wyjściu pociągu pospiesznego Nr. 12 z Łaz.

Skutkiem tej nawałnicy na przestrzeni od Zawiercia do połowy dystansu Poraj, nastąpiło, jak mówią, oberwanie się chmury.

Ulewa była tak gwałtowna, że w południowej godzinie zrobiło się zupełnie ciemno.

Silne potoki wód z pochyłości przepełniły stawy nieopodal plantu kolei żelaznej, a wkrótce cała masa wody z wrastającym impetem uderzyła na plant kolei na przestrzeni Zawiercie-Myszków.

Pociąg pospieszny ze znaczną liczbą podróżnych tylko cudem ocalał od strasznej katastrofy.

Gdy pociąg ten wyszedł z Zawiercia, zaskoczony w drodze przez nawałnicę, przeszedł pomyślnie przez dwa mosty i dopiero, zbliżając się po plancie już wodą zalanym do trzeciego mostu, spostrzegł maszynista, że most zrujnowany.

Wcześnie też jeszcze zdołał pociąg przed mostem wstrzymać.

Po chwili zaczął pociąg cofać do Zawiercia, lecz ostrzeżony przez drożników wieścią, że dwa mosty, przez które przed chwilą przejechał, formalnie zniesione, musiał wstrzymać pociąg.

Cała katastrofa nie trwała dłużej aniżeli 20 minut.

Pięć mostów i znacznej długości nasyp ziemny — zniesione.

Stacja Myszków formalnie była zalaną do wysokości $1^1/_2$ łokcia...

Gwałtowne potoki wody wyrwały tu parów głęboki na 6, a 40 sążni długi...

Nad tą przepaścią zawisły szyny z podkładami.

Pociąg pospieszny nr. 12, pomimo dawanych alarmujących sygnałów o pomoc w kierunku stacji, nie mógł sie doczekać sukursu.

Wysłano wprawdzie na pomoc lokomotywy, z powodu jednak zniesionych mostów dojść one na miejsce samego wypadku nie mogły.

Pociąg stał i stoi pomiędzy dwiema potężnemi przerwami.

Nareszcie o północy zrobiono z desek na wiszących szynach chodniki.

Tędy przeprowadzono pasażerów do Myszkowa przez błota, zalewy i wyrwy.

Kilku pasażerów, którzy wcześniej dostać się chcieli do Myszkowa przebojem, omal nie utonęli.

Cała okolica Myszkowa zalana.

Zakłady fabryczne i wioski z całym dobytkiem pod wodą.

W nocy z soboty na niedzielę alarmowano wszystkie władze, w niedzielę rano o 4-tej przybyli już technicy i inżynierowie.

Wzięto się energicznie do pracy, jak prędko jednak pożądany osiągnięty zostanie rezultat, niewiadomo.

Sztuczna kość słoniowa.

Sztuczna kość słoniowa, a raczej, mówiąc więcej ściśle, cellulojda, jest szczegolnym materjałem, bo zaledwo od lat pięciu wyrabiana fabrycznie już stała się podstawą wielu kwitnących gałęzi przemysłu, a codziennie prawie powstają nowe jej zastosowania, wróżąc materjałowi temu świetną przyszłość.

Celluloida, złożona z mięszaniny bawełny strzelniczej z kamforą, wytwarzanej przy silnem bardzo ciśnieniu i warunkach znanych tylko wynalazcom, w stanie surowym wygląda jak guma przezroczysta o jasnej brunatno-żółtej barwie, zaletą zaś jej, że daje się urobić w każdą żądaną formę i może być zabarwioną we wszelkie odcienia niezmienialne, a w rezultacie można ją uczynić twardą i sprężystą jak kość słoniowa.

Własności to niezmiernej wagi, wpłynęły też one na rozwój fabrykacji celluloidy.

Jak twierdzi *Evening Post.* sztuczna kość słoniowa wyrabiana jest dotąd przez jedną tylko kompanję amerykańską, mającą swe zakłady w Newark i w stanie New-Yersey, otrzymywany zaś tam materjał surowy przesełа się do innych fabryk.

Kompanja sprzedaje wyrób tym tylko, którzy coś nowego zeń produkować zamierzają, a to dla nieczynienia wyrabianym już przedmiotom konkurencji; zaś nikt obcy, nie mający na to pozwolenia kompanji, kupować celluloidy nie może.

Pomimo to utworzyło się już wiele stowarzyszeń w celu fabrykacji rozlicznych przedmiotów z celluloidy, zakłady zaś tego rodzaju z Newarku, gdzie pierwotnie istniały, przeniosły się do New-Yorku i innych miast Ameryki, prócz tego do Francji.

Cena materjału surowego normuje się wedle jej przeznaczenia i tak za funt celluloidy używanej do jubilerstwa płacić trzeba 4 lub 5 dolarów, kiedy na rączki do parasolek sprzedają ją tylko po dwa dolary.

Jako wyborne naśladownictwo słoniowej kości celluloida wielkie znalazła powodzenie, a ma ona większe nawet niż pierwsza zalety, bowiem znosi bez szwanku najsilniejsze uderzenia i nie żółknie skutkiem zużycia lub przez czas.

Olbrzymie jej ilości idą na klawisze do fortepjanów i organów, a kule bilardowe o połowę od kul z kości słoniowej tańsze, wyrabiane są na olbrzymią skalę.

Grzebienie, oprawy do zwierciadeł ręcznych, trzonki do biczów i szpicrut, rączki do lasek i parasoli, oprawy scyzoryków, noży i widelców, szachy i ozdoby do zaprzęgów, wszystko to może być wyrabiane z celluloidy tanio i elegancko.

Celluloida daje się barwić w najrozmaitszy sposób, może też naśladować piękny szyldkret, malachit i bursztyn i w tej formie używana jest na grzebienie, pugilaresy, cygarnice, pudełka do zapałek, biżuterje, galanterje, mundsztuki do cybuchów i t. d.

„Sztuczna kość słoniowa“ zda się również na narzędzia muzyczne, jako to: flety, fleciki i kotły; na te ostatnie daleko lepszą ma być od pergaminu.

W zastępstwie porcelany służy ona na główki dla lalek, a jubilerzy używają celluloidy imitującej koral.

Celluloida służy też w charakterze skóry na przodki do trzewików oraz podeszwy, jest wybornym materjałem na naparstki, jako tło do malowania używaną może być równie pożytecznie jak kość słoniowa, wreszcie zaś są z niej wyrabiane pasy do toczydeł szlifierskich zwyczajnych i szmerglowych.

Od półtora roku zaczęto znów używać „kość słoniową“ na... kołnierzyki i mankiety.

Wygląda ona jak mocno skrochmalone płótno, jest odpowiednio lekka i giętka, nie marszczy się, nie mięknie od potu i może być noszona całemi miesiącami.

Trudniej się brudzi niż płótno, a zbrudzona myje doskonale za pomocą gąbki lub szmaty wodą z mydłem.

W ostatnich czasach gorsy i kołnierze do koszul ulepszone zostały przez umieszczenie płótna pomiędzy dwa arkusze celluloidy.

Zaczęto też z niej robić krawaty i... koperty do zegarków.

Dziwem więc doskonałości jest chyba „sztuczna kość słoniowa“, a jednak ma i ona wadę i wielką.

Oto, jako złożona po części z prynoksyliny, zetknięta z ogniem pali się niezmiernie szybko, tak jak ów pierwiastek.

Niedogodność to olbrzymia, bo niech np. amator gry fortepjanowej usiędzie do instrumentu o celluloidowych klawiszach z zapalonym papierosem, a jedna spadła iskra przeleci przez całą klawiaturę i zniszczy ją w sekundę...

Niedogodność to wielka, przypuszczać jednak należy, że zostanie ona usuniętą, jeżeli jeszcze dotąd tego nie zrobiono.

Z tym Nrem kończy się kwartał II.

Treść Nr. 22.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.

Koniec tomu ósmego.